Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 1 (1789) • 3–9 stycznia 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

ODLOTOWEGO NOWEGO ROKU

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 71af296b8a

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Grudzień 2012 r.

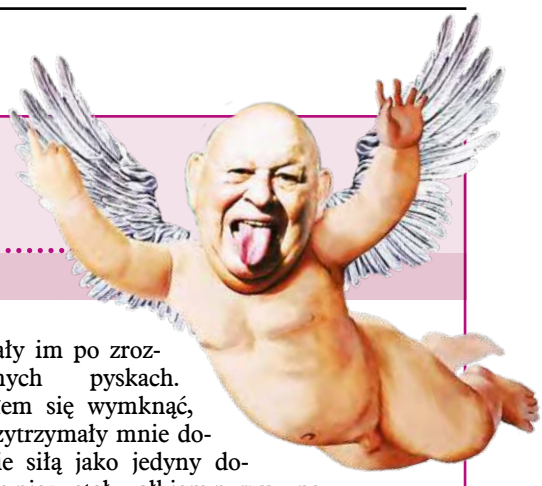

Świętego Gatiena

13 grudnia zeszłego roku Małgorzata Daniszewska i ja wydaliśmy zgrzebne przyjęcie dla grona miłośników stanu wojennego 1981 r. Nam, Polakom, podano: śledzia w prawdziwkach, krewetki na ostro, sałatę z sałaty, sałatę ze szpinaku, sushi, sushimi, poprzedniej nocy wędzone, a wcześniej żywcem skłusowane w pobliskiej rzece jesiotry i węgorze, pasztety z dziczyzny i z bażantów hodowlanych, baranie kiełbaski orientalne, bardzo pikantne, oraz kruche rogaliki z wiśniami jako nadzieniem. Do tego wszelkie trunki, jakie ludzkość wymyśliła, z osławioną wódką czeską włącznie. Śpiewano „Międzynarodówkę". Ofiar: sztuk jedna. Na pamiątkę stanu wojennego telefony były wyłączone. Na zewnątrz przy koksowniku grzali się ochroniarze przebrani za zomowców i nasz pudel policyjny. W kominku płonęły wydawnictwa niezależne.

Świętego Urbana (sic!)

Telewizja TVN 24, której dziennikarzy reżyser PiS chce pozabijać, doprasza się łaski.

13 grudnia na biedną ofiarę komuny wybrała sobie do pokazania i żałowania księdza Zycha – patrona młodzieżowej bandy zbrojnej. Jej członkowie zabili w tramwaju przypadkowego milicjanta sierżanta Karosa, próbując mu siłą odebrać broń. Ksiądz wychowawca zabójców i magazynier broni dostał sześć lat. Po wyjściu umarł z przepicia na przystanku autobusowym. IPN (Żaryn) twierdzi, że to SB siłą wlała w niego nadmiar wódki, chociaż w tamte lata śledztwo wykazało, że nadmiar pobrał publicznie w barze.

IPN twierdzi, że wszyscy księża, którzy w PRL zmarli pod wpływem alkoholu, zostali siłą upici przez SB. Dlaczego więc współcześnie alkoholizm dziesiątkuje kler? Kto teraz siłą napaja wielebnych? Ateiści?

Świętego Abrahama

Zwyciężymy – krzyczał 13 grudnia Jarosław, łypiąc ślipiami bazyliszka pod Piłsudskim, i domagał się wolności. Kształt tej wolności doprecyzowali jego współpracownicy. Reżyser Braun postrzegał ją jako swobodne wybicie, ale tylko dziennikarzy z „Gazety Wyborczej" i TVN. Natomiast Tomasz Sakiewicz, szef „Gazet Polskich", jest mniej krwiożerczy. Pisał 12 grudnia o przeciwnikach PiS: *Rzeczpospolita wystawi im rachunek, a odpowiedzialność będzie straszna (…) pewnym ludziom trzeba będzie powiedzieć: dziękujemy, a grubą kreskę zamienić na grubą kratkę*.

Z grubsza więc wolność, którą obiecuje Kaczyński, gdy zwycięży, ma polegać na zabiciu niektórych dziennikarzy i powsadzaniu polityków za kratki. Czy to sprawiedliwe, że tylko dziennikarze pozbawieni zostaną szans na narodową reedukację?

Cytowany Sakiewicz do swojej gazety dodał na Boże Narodzenie świąteczny upominek – amulet, który chroni przed atakami Szatana.

Oni są chyba wszyscy płatnymi agentami Tuska. Mają stale przypominać, że albo rządy PO, albo mordownia sprzężona z katolickim domem wariatów.

Świętego Hivera

Minister Sikorski pojechał do Moskwy po wrak wiadomego samolotu. Przywiózł dobre słowa. Zmartwiony nie był. Gdyby dostał wrak, Macierewicz znalazłby na nim ślady arszeniku i wybuchu atomowego. Święte blachy w pępku Warszawy jako miejsce kultu ozdobione napisem: „Tu leży narzędzie zbrodni".

Zamiast w kółko się prosić, Polska powinna sławetny wrak uroczyście ofiarować Rosji.

Zaraz Kreml zacząłby się wymawiać, że ma dość złomu – i Polsce wciskać to gówno.

Świętego Xaviera

Fioletowe mycki odbyły swoje plenum. Uchwaliły sprzeciw wobec podpisania przez rząd akcesu do europejskiego paktu o zwalczaniu antykobiecej przemocy mężczyzn. Starym kawalerom w sukienkach kojarzy się to z zachętą do homoseksualizmu i rozwiązłości. No istotnie – tylko heteroseksualiści mają w domu kogo bić, zaś niebita żona nie boi się dawać dupy samcom niepoślubionym.

Najohydniejsza kreatura wśród biskupów, ksywa Flaszka, odwróciła czerwoną mordę do kamery i arogancko rzuciła, że sprawa paktu jest zakończona. Zawsze dobrze gwizdnąć: rządzie, do nogi, pamiętaj, kto tu rządzi rządem.

Świętej Franciszki

Dziś dokonałem czynności. Wyrzuciłem ulotkę reklamującą środek na zgagę. Moja kuzynka miewała zgagę i sama się jej pozbyła. Najlepszym środkiem na zgagę jest samobójstwo.

Świętego Sylwestra

W sylwestra miałem jeździć z wnukami po Warszawie, aby zobaczyły, co się dzieje. Więc nie pojechałem.

Już młodzieńcze zabawy sylwestrowe miewałem na ogół do dupy. W 1951 r. poszedłem pierwszy raz na bal urządzony w budynku harcerstwa, dawniej YMCA, przy ul. Konopnickiej w Warszawie. Uszyłem sobie na tę okazję pierwszy wieczorowy garnitur. Obrzygał go naczelny redaktor „Po Prostu". Nazywał się Gruszecki.

Następnie poszedłem na bal dziennikarzy przy ul. Foksal. Stolik na kilkanaście osób nasze towarzystwo dostało na ostatnim piętrze w pejzażu raczej biurowym. Po pewnym czasie wszyscy faceci od naszego stolika myk do barów, tańców i na podryw. Zostało osiem ich towarzyszek, które zaczęły zbiorowo szlochać, a socjalistyczne makijaże spływały im po zrozpaczonych pyskach. Chciałem się wymknąć, ale przytrzymały mnie dosłownie siłą jako jedyny dowód, że nie zostały całkiem porzucone.

Gdzieś w tropikach siedziałem na stołku barowym w basenie i piłem do upadłego na dno. Był ratownik.

W Jordanii zapłaciłem za towarzystwo wielbłąda, ale nie przyszedł, bo było dla niego za zimno. Dla mnie też.

W Nowym Jorku w „Russian Samowar" spędziłem część balu we dwójkę z Miss Ameryki, ale ani jej, ani tego nie pamiętam.

W latach 70. pojechałem na Mazury z bandą z „Polityki". Daniel Passent powiedział, że męczy go senność, umówmy się więc, że o dziesiątej jest już dwunasta, wypijmy toast i cześć. Pomysł przyjęto.

Kiedy indziej na Mazurach trzeba było spać pokotem na sianie jak bydło. Mieczysław Rakowski spał w smokingu i białym, modnym wtedy żabocie na plisowanej koszuli z koronkami.

Jeszcze kiedy indziej banda z „Polityki" odjechała samochodami do domku Rakowskiego na Mazurach, a ja zostałem. Miałem dowieźć żywność jeszcze przyrządzaną. Nie dowiozłem. Bałem się moim psującym się gratem jechać sam po ciemku, w zadymce i strasznym mrozie. Mieli głodnego sylwestra, a także trzeźwego, bo wystawione na mróz butelki popękały. Nie mogli też uciec, bo żaden z samochodów nie zapalił.

Po tych doświadczeniach przełomy lat spędzam na kontemplacjach, sztuce, w której celuje moja żona Daniszewska.

❏

PRASA ŚNIADANIOWA

- **„Kochaj Czynem"** jest tegorocznym hasłem Betlejemskiego Światła Pokoju. Czy kochanie czynem nie jest częścią przedmiotu edukacja zdrowotna?
- **Tadeusz Rydzyk** powiedział, że za donos o ładunku w Lux Veritatis odpowiedzialni są decydenci na czele z premierem. Dzwoniący widać nie wymawiał R.
- **Radio Maryja** ostrzega, że sztuczna multiseksualność jest bardzo opłacalna. Opłacalność wzrośnie przy sprzedaży obciętych polskich penisów.
- Na Krupówkach **pijany Mikołaj** zażądał od dziecka 20 euro zapłaty. Miło wiedzieć, że są rzeczy stałe we wszechświecie.
- **Mariusz Błaszczak** powiedział, że obecny obóz władzy sprawuje rządy za pomocą pały i uchwały. Akurat ssanie pały to i za PiS-u było w modzie.
- **Rząd** zdecydował o interwencyjnej sprzedaży na rynku żywności. I tak rządowi poprzez bicie piany wyszło masło.

MARTA M.

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Szanowna Redakcjo

Jako długoletni czytelnik „NIE" (1992–1995 r. okazyjnie, od 1996 r. regularnie) już wiele razy chciałem do Was napisać, by odnieść się do tematyki publikowanych artykułów. I jak to w życiu bywa, kończyło się na planach.

Ostatecznie zmotywował mnie jednak tekst red. Agnieszki Wołk-Łaniewskiej „Polszczyzna gwałcona postępem-Językowe potwory roku" ze świąteczno-noworocznego „NIE" 51–52/2023, dotyczący zaśmiecania języka polskiego różnymi „modnymi" słówkami i zwrotami. Pisał też chyba o tym którymś numerze red. Sanecki.

Powodowany także apelem z okładki „NIE" 34/2024: *I piszcie do nas, co Was drażni*, postanowiłem opisać cztery językowe „śmiecie", uważane za bardzo „trendy". W szczególności przez osobników wciskających je do naszej mowy z uporem maniaka, a których nazwałem trendziarzami (celowo z małej). Przechodząc do tematu – przedstawiam cztery takie „kwiatki", chronologicznie, w kolejności i, w jakiej zaczęły drażnić moje uszy. Co wrażliwsi niech się teraz przeżegnają lub przestaną czytać, bo będzie parę bluzgów.

1. „TROSZECZKĘ". Wyjątkowo groźny chwast językowy, rozprzestrzeniający się z szybkością pożaru australijskiego buszu. Zaczął kłuć w uszy ok. 3–4 lata temu. Teraz jest już dosłownie WSZĘDZIE. Słychać go w programach publicystycznych, rozrywkowych, teleturniejach. Upajają się nim celebryci, dziennikarze, konferansjerzy, politycy, polscy youtuberzy, komentatorzy sportowi. Właśnie! Komentatorzy…

14 marca br. na TVP Sport oglądałem mecz Pogoń Kielce–Stomil Olsztyn i w ciągu ~95 minut (sędzia doliczył) meczu, usłyszałem to pierdolone „troszeczkę" 20 (tak, dwadzieścia) razy. Co więcej, jeden z komentatorów wspiął się „na wyżyny" i zdołał powiedzieć „troszeczkę" TRZY razy w JEDNYM zdaniu złożonym! No po prostu, kurwa, MISTRZ!! To tylko potwierdza moją teorię, że pojawili się ludzie, których „troszeczkowanie" doprowadza na krawędź orgazmu, a kto wie czy nie poza nią...

To samo było 26 marca podczas transmisji z zawodów żużlowych (też TVP Sport) ale tu zabrakło mi nerwów i kiedy po piętnastym „troszeczkę" zacząłem się mylić, przestałem liczyć. Nie pamiętam nazwisk tych komentatorów. Może red. Mittelstaedt kogoś by skojarzył, ale wątpię. Po głosach było słychać, że to jakieś młode pokolenie. I tu zapytam – co się stało z takimi słowami jak: „trochę, „troszkę", „odrobinę", „ciut"? Chociaż z „ciut" może być teraz kłopot, bo to zapożyczenie z rosyjskiego. (O rosyjskim będzie pod koniec) Po jaką jasną cholerę to uporczywe zdrabnianie? Co będzie za parę lat? Troszeczkuńkę? Troszeczkunieczkę? Kurwa, litości...

2. „W UKRAINIE". Kolejny „oręż" językowych trendziarzy. Tak, tu zdania są podzielone (jak zawsze w Polsce) i nawet czytałem wypowiedzi ludzi z literkami przed nazwiskiem, twierdzących, że tak się mówi. Nie wiem, nie wnikam, nie jestem polonistą, ale pamiętam taką sytuację sprzed około dwóch lat: siedząc w barze przy piwku ze znajomkiem (mającym studia o stopień wyższe od moich) napomknąłem, iż to „w Ukrainie" zaczęło mnie wkurwiać. Znajomek na to odpowiedział ze słyszalną wyższością w głosie: „Ukraina jest teraz niepodległa i tak powinno się mówić". OO! Czyżby?

O ile pamiętam, Ukraina ogłosiła niepodległość 24.08.1991 r. i od tego dnia NIGDZIE nie słyszałem takiego zwrotu. Aż tu nadszedł dzień 24.02.2022 r. i JEB! JEB!, z hukiem porównywalnym do spadających rosyjskich rakiet powyskakiwali trendziarze ze swoich pudełeczek, niczym te pajacyki na sprężynach, i zaczęli cisnąć to jebane „w Ukrainie" niczym kit w starą framugę. Gdzie ci „wukraińcy" byli przed inwazją? Założyli podziemną organizację i od lat czekali na wybuch wojny? Czekali na rozkaz do działania?!

Tu przypomnę, że Węgry też są niepodległe. Od 23.10.1989 r. To co – jak tam sytuacja W WĘGRZECH? A może W WĘGRZECH mają niezły gulasz? Może tak się „powinno mówić", a tylko ja o czymś nie wiem.

A co z Filipinami, które ogłosiły niepodległość 04.07.1946 r.? Byłem na wczasach W FILIPINACH?! Myślę, że tyle przykładów wystarczy na ukazanie głupoty trendziarzy.

Aha! Do niedawna zamieszczaliście dawne teksty J. Urbana w ramach cyklu „Z urny Urbana" i jakoś Urban zawsze pisał „na Ukrainie". I co, ktoś chce zarzucić R.I.P. Naczelnemu, że niepoprawnie posługiwał się językiem polskim? Czekamy na odważnych. „Jest że taki, co podniesie rękawicę?!"… Zamykając ten punkt, z żalem stwierdzam, że łamy „NIE" również zostały skażone tym chwastem.

3. „KONTEKST". Jedno z ulubionych słówek anglojęzycznych youtuberów. Oczywiście zaraz za „subscribe", „support" i „Patreon". Od jakiegoś roku, 1,5 roku może, wyłazi to niczym karaluch zza boazerii w publikacjach prasowych i wypowiedziach w mediach masowych. Teraz wszystko musi być „w kontekście". Albo „ważny jest kontekst". Albo „szuka się kontekstu". Do ciężkiej kurwy, czy nie można powiedzieć: „na tle czegoś", „w sensie", „w temacie" czy „odnośnie czegoś"? Najwidoczniej nie można, gdyż przy tym bogactwie języka polskiego móżdżki trendziarzy zawieszają się niczym Atari z lat 80. i całość wychodzi „poza kontekst". Ten chwast też, niestety, pojawia się na łamach „NIE" coraz częściej.

Pozostaje tylko czekać, kiedy okaże się, że Młynarski śpiewał „Nie mam jasności w kontekście Marioli"...

4. „SPÓJRZ". Jestem obecnie na rencie i mam więcej czasu na oglądanie filmów, seriali, ogólnie telewizji. I zauważyłem (a raczej moje uszy wychwyciły), że jakoś od roku (może trochę wcześniej, jak w pkt. 3) w tekstach polskich filmów i w polskich tłumaczeniach filmów/seriali zagranicznych wręcz niepodzielnie zapanowało to idiotyczne „spójrz". Czyżby nagle niewykonalnym stało się użycie takich słów jak: „patrz", „popatrz", „przyjrzyj się", „rzuć okiem", „zerknij", „zobacz"? Czy te słowa zostały nagle ZAKAZANE i trzeba klepać co chwila to samo, nawet po parę razy w jednym zdaniu?! No tak, ale wtedy już nie byłoby, kurwa, „trendy"...

I na koniec „honorable mention", choć sądzę, że właśnie to da trendziarzom największego „wkurwu".

5 „SOWIECKI". Znalazł ktoś kiedyś w NORMALNYM atlasie czy na NORMALNEJ mapie Związek Sowiecki? Albo taki kraj ZSRS? Nie? No, właśnie!

A jak to tak? – zapytają trendziarze. A tak, że w polskim języku był Związek Radziecki, i był ZSRR. A dlaczego? – drążą trendziarze. A dlatego, że po rosyjsku „sowiet" to po przekładzie na polski – rada. I naturalną koleją rzeczy, jak po rosyjsku będzie „sowietskij", to po polsku będzie no jak? Radziecki. Tyle i AŻ TYLE. Zdaję sobie sprawę, że w tym przypadku to wołanie na puszczy, bo ten pierdolec z „sowieckością" trwa już lat 90. albo i dłużej, jednak ostatnio przybiera na sile, gdyż trendziarze to też gorliwi (pseudo)patrioci. Wystarczy obejrzeć na kablówce jakiś program historyczny o II wojnie światowej. Np. na kanale Viasat History, National Geographic, Fokus TV etc. Droga przez mękę – „sowiecki", „sowiecki" i „sowiecki" sączy się z głośników aż do porzygania. Nawet kiedy w oryginalnym tekście angielskim słychać wyraźnie słowo „russian", to tłumacz – pseudopatriota-idiota, i tak wpierdala to swoje ukochane „sowiecki"! Sądzę, że tłumacz, a nie lektor, bo lektor to raczej czyta tak, aby nadążyć z tekstem, więc nie miałby czasu na własne przeróbki „na bieżąco".

I tak to trendziarze strojący się w piórka patriotów i miłośników polskości w swojej głupocie wciskają do mowy polskiej ewidentny rusycyzm przy każdej nadarzającej się okazji. I jeszcze się tym puszą, niczym gołąb, który właśnie obesrał świeżo wypolerowanego Rolls-Royce'a.

Pozdrawiam
DARIUSZ, LEGNICA

eprasa.pl 71af296b8a

Rok z głowy

Rys. WIDGET

Rok 2024 miał kompozycję klamrową. Skończył się tak, jak zaczął: ucieczką posła PiS przed więzieniem. Odnotować należy, że uciekinier grudniowy wyciągnął wnioski z doświadczeń uciekinierów styczniowych i nie uciekał do Andrzeja Dudy. Były wiceminister sprawiedliwości i dyrektor Funduszu Sprawiedliwości Marcin Romanowski, ścigany za przekręcenie stu baniek z Funduszu, zamiast trafić na trzy miechy do aresztu, umknął na Węgry, gdzie otrzymał azyl polityczny – co jest dość bezprecedensowym wydarzeniem w relacjach między państwami UE. Tak to Tusk do spółki z Orbánem tworzą historię.

• • •

W styczniu 2024 r. do pierdla mieli trafić Wąsik z Kamińskim, skazani dawno temu za nielegalne zmontowanie afery gruntowej. Poprosili o azyl prezydenta – i nawet go otrzymali, atoli okazało się, że Pałac Prezydencki nie jest eksterytorialny, toteż bohaterowie PiS zostali wytachani przez psy w kajdankach, kiedy główny lokator pałacu był akurat nieobecny. Trafili do pierdla, gdzie spotykało ich nieludzkie traktowanie, a Mariusz Kamiński był nawet ponoć karmiony przez rurkę. Ich gehenna trwała prawie dwa tygodnie, po których prezydent Duda ułaskawił ich ponownie, tym razem legalnie. Na pocieszenie obaj dostali biorące miejsca na listach PiS do europarlamentu i teraz podratowują zdrowie za brukselskie srebrniki.

• • •

Lista ofiar bodnarowskich siepaczy jest dużo dłuższa. Króluje na niej ksiądz Michał O., zwany Salcesonem – od nietypowej metody, jaką egzorcyzmował demona wegetarianizmu. „Salceson" – wraz z dwiema urzędniczkami z resortu Ziobry – przesiedział siedem miesięcy w śledztwie związanym z dojeniem Funduszu Sprawiedliwości. Ksiądz prowadził Fundację Profeto, która za pieniądze z Funduszu budowała na Wilanowie olbrzymi ośrodek, ponoć dla ofiar przemocy; a przy okazji przelewał kasę rodzicom, wyjął pół bańki z bankomatu na drobne wydatki, wydał 3,5 mln zł na skarpetki. PiS ogłosiło, że ksiądz „Salceson" jest męczennikiem torturowanym w więzieniu – co wzbudziło powszechną wesołość wśród antypisu. Niespodziewaną pointę dopisał rzecznik praw obywatelskich prof. Marcin Wiącek, który stwierdził, że tortur w rozumieniu prawa międzynarodowego nie było, ale niewłaściwe traktowanie owszem: wielogodzinne przesłuchania, kajdanki zespolone, utrudnianie kontaktu z adwokatem. Głupio wyszło.

• • •

Ks. Olszewski i dwie ziobrowe urzędniczki już nie cierpią katuszy, albowiem wyszli za kaucją po 350 tys. zł na łba pod koniec października. Kaucję za księdza zapłacił jego zakon; za urzędniczki 700 kafli wysupłał z własnych zasobów red. Michał Rachoń. Nikogo specjalnie nie zdziwiło, że przeciętny dziennikarz, który zaistniał głównie dzięki przebraniu się za chuja, ma tyle kasy – albowiem po siłowym odbiciu TVP przez ówczesnego ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza dowiedzieliśmy się, ile kurwizja płaciła swoim dyspozycyjnym gwiazdom. Okazało się na przykład, że występujący tam w charakterze gości dziennikarze z prasowych organów PiS mieli miesięczne umowy na 20 wystąpień po 500 zł każde. W innych telewizjach goście dostają kawę i podwózkę. Po przejęciu TVP przez obecną władzę gwiazdy z Rachoniem na czele przeniosły się do Republiki, której oglądalność wzrosła o 4000 proc.

• • •

Bartłomiej Sienkiewicz, szef MSWiA Marcin Kierwiński i minister aktywów państwowych Borys Budka po paru miesiącach ministrowania dostali finansowego kopa w górę i w czerwcowych wyborach dali się wybrać do Parlamentu Europejskiego. Kierwiński długo tam nie zagrzał miejsca, albowiem we wrześniu wezwany przez Tuska powrócił do ojczyzny, żeby likwidować skutki powodzi. Co skądinąd dowodzi, że jest to człowiek niezwykłego politycznego talentu: w ciągu sześciu miesięcy z posła, europosła i konstytucyjnego ministra zdołał zostać pełnomocnikiem rządu bez immunitetu. Skutki powodzi pozostają niezlikwidowane.

• • •

W eurowyborach szczególnie wybitnie zapisała się lewica, która tak sobie ułożyła listy, żeby postacie dla lewicy marginalne, acz cieszące się niejakim uznaniem wyborców – jak Marek Belka czy Włodzimierz Cimoszewicz – pracowały na prawdziwych liderów: Roberta Biedronia, jego partnera Krzysztofa Śmiszka i ich koleżankę Joannę Scheuring-Wielgus. Wybory do PE wygrała Koalicja Obywatelska, która uzyskała o 0,9 proc. więcej niż Prawo i Sprawiedliwość – co było dla Donalda Tuska źródłem wielkiej radości, albowiem były to pierwsze wybory, które wygrał z Kaczyńskim od 2011 r.

• • •

We wcześniejszych, kwietniowych wyborach samorządowych PiS wygrało z PO w sejmikach, a także radach powiatów, za to przerżnęło w miastach, więc jedni i drudzy ogłosili swoje zwycięstwo. Podobnie zresztą jak reszta startujących formacji – z wyjątkiem Konfederacji, która wszakże cieszyła się, że spuściła wpierdol lewicy. Lewica uznała, że zwyciężyła, bo Magdalena Biejat dostała w Warszawie trzecie miejsce i kilkanaście procent głosów. Wygrał oczywiście Rafał Trzaskowski w pierwszej turze. Za nim uplasował się nieznany szerzej łodzianin Tobiasz Bocheński z PiS – co było dla lewicy sporym rozczarowaniem, zważywszy że sondaże dawały Biejat ponad 20 proc. i drugie miejsce. Rozczarowanie lewica skrzętnie ukryła. *Dała nam przykład Magda, jak zwyciężać mamy* – ogłosił Robert Biedroń, co miało daleko idące konsekwencje pod koniec roku. Zanim jednak dojdziemy do szalejącej obecnie prekampanii prezydenckiej – jeszcze krótka kwerenda wydarzeń, które nastąpiły po drodze.

• • •

O „rozliczaniu PiS" już wspominaliśmy. To jedyna obietnica wyborcza PO, którą władza realizowała z entuzjazmem – choć nie można powiedzieć, żeby ze specjalnymi sukcesami. Próby wsadzania różnych pisowskich czynowników powiodły się nieszczególnie – patrz Wąsik, Kamiński, Romanowski. Jedynym celnie trafionym jest Ryszard Czarnecki, za którym ciągną się nieszczęsne kilometrówki – nakręcił ich na ponad 200 tys. euro, oddał połowę – a do tego przyklepano mu aferę Collegium Humanum: prywatnej uczelni, która sprzedawała politykom dyplomy MBA potrzebne do zasiadania w radach nadzorczych spółek skarbu państwa. Głównie politykom PiS – ale w sprawie Collegium Humanum pojawiają się też inni bohaterowi życia publicznego. Np. prezydent Wrocławia Jacek Sutryk, który miał jakoby kupić dyplom za 9,5 kafla – za co został spektakularnie aresztowany, żeby lud wiedział, że CBA jest ślepe jak Temida. Odprysk afery trafił także Szymona Hołownię, który zapisał się na studia – ale, jak przekonuje z ogniem, nie zaczął ich, ani tym bardziej nie skończył. Nigdy się nie spodziewaliśmy, że fakt, iż marszałek sejmu nie skończył studiów, będzie czymś, co działa na jego korzyść.

• • •

W sejmie rozliczenia przyjęły formę trzech komisji śledczych: ds. Pegasusa, afery wizowej i wyborów kopertowych. Ich działalność miała niejaki wymiar rozrywkowy – nam szczególnie zapadł w serce Jarosław Kaczyński zwracający się do przesłuchującego go posła per „proszę członka" – ale nie jesteśmy pewni, czy rozrywka owa uzasadnia koszt wynoszący 200 tys. zł na komisję na miesiąc. Ubocznym efektem działania komisji ds. Pegasusa było upublicznienie epopei zdrowotnej ministra Ziobry, który – jak się okazało – jednak nie symulował raka przełyku. Na zdjęciach i w krótkich wystąpieniach przed kamerami (na przykład na okoliczność przeszukania jego willi w Jeruzalu) wyglądał jak postać z klasyki romantyzmu: *oszpetniał, sczerniał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał*. Teraz jednakże wyraźnie powrócił do zdrowia, wygląda całkiem puciato i owa dziwna szlachetność mu przeszła.

• • •

Brak szczególnych sukcesów w ściganiu poszczególnych pisowców niejako równoważy uderzenie całej partii tam, gdzie boli najbardziej. Państwowa Komisja Wyborcza odebrała PiS-owi większość subwencji i dotacji w związku z tym, że w 2023 r. finansował sobie kampanię z budżetu, organizując np. pikniki wojskowe, w których Kaczyński wzywał do głosowania na Prawo i Sprawiedliwość. Działanie PiS w tej mierze było rzeczywiście wyjątkowo bezczelne – ale jednak jest to zmiana reguł w trakcie gry: odkąd pamiętamy, wszystkie partie rządzące wykorzystywały publiczne imprezy promowania się w kampaniach wyborczych. A poza tym – odebranie pieniędzy PiS może okazać się o tyle przeciwskuteczne, że wśród jego zwolenników umacnia mentalność oblężonej twierdzy i buduje mobilizację, którą zwolennicy obecnego obozu rządzącego jakby stracili.

• • •

A do tego nie wiadomo, jaka jest naprawdę sytuacja prawna pisowskiej dotacji, bo decyzję PKW o jej odebraniu unieważniła Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, z tym że zdaniem obecnej władzy izba ta nie jest sądem i nie może nic unieważniać. Ta historia dość dobrze obrazuje sytuację w wymiarze sprawiedliwości en bloc: polega ona na tym, że nie da się przywrócić stanu zgodnego z konstytucją bez łamania konstytucji. Ponoć wszystko będzie inaczej, kiedy w Pałacu Prezydenckim zasiądzie ktoś, kto nie będzie wetował Bodnarowi ustaw naprawczych (których Bodnar nie składa, bo i tak się nie uda). Tym kimś ma być – a jakże – Rafał Trzaskowski. Przeciwko niemu PiS wystawiło niejakiego Karola Nawrockiego: faceta, który z twarzy jest podobny zupełnie do nikogo, a dotychczasowe życie poświęcił na okładanie się po ryjach, kibicowanie Lechii Gdańsk i zawodowe zakłamywanie historii w IPN. Ostanie sondaże 2024 r. gwieździe PO dawały w drugiej turze przewagę rzędu 8–9 proc. Co nie jest uspokajającym wynikiem, wziąwszy pod uwagę, że kampania się jeszcze nie zaczęła. Na trzecim miejscu w sondażach jest Sławomir Mentzen, na czwartym – Szymon Hołownia, a na piątym – Magdalena Biejat, która w tym celu porzuciła Razem dla Nowej Lewicy.

• • •

Tematu lewicy nie rozwijaliśmy w tym zestawieniu specjalnie, albowiem nie chcemy Państwu psuć noworocznego nastroju. Lewicy udało się – jako jedynej spośród formacji rządzących – stracić jednego ministra i jednego wiceministra, którzy musieli podać się do dymisji w związku z obciachem, jakiego narobili. Wiceminister sprawiedliwości Bartłomiej Ciążyński poleciał za to, że pojechał na wakacje służbowym samochodem, płacąc za benzynę służbową kartą. Minister nauki magister inżynier Dariusz Wieczorek został zmuszony do odejścia, kiedy okazało się, że nakablował na sygnalistkę z Uniwersytetu Szczecińskiego rektorowi tegoż US, z którym wymieniał się posadami dla żon, a do tego zapomniał wpisać hektary i garaże do oświadczenia majątkowego. Z innych sukcesów lewicy wymienić można: niezliberalizowanie ustawy antyaborcyjnej, niezdepenalizowanie pomocnictwa przy aborcji, nieuchwalenie ustawy o związkach partnerskich. A także rozpad klubu parlamentarnego na Nową Lewicę, która jest w rządzie, i Razem, które jest w opozycji. Aha, i jeszcze entuzjastyczne poparcie dla wydawania 4,7 proc. PKB na zbrojenia – które kandydatka Biejat proponuje wyłączyć z kampanii wyborczej, bo *utrzymanie obecnego poziomu inwestycji w zbrojenia nie podlega żadnej dyskusji*...

• • •

Z pozostałych wiadomości: w Polsce rządzi Donald Tusk, w Ameryce będzie rządzić Donald Trump, w Niemczech przestanie rządzić Olaf Scholz. Wojna na Ukrainie zbliża się do swojej trzeciej rocznicy i gdyby to zależało od pierwszego z powyższych czynników – trwałaby jeszcze 20 lat, ale czynniki nr dwa i trzy mogą ją wyraźnie skrócić. Izrael nadal morduje Palestyńczyków, a ostatnio zaczął także Libańczyków. W Syrii władzę przejęli islamiści, ale antyrosyjscy więc ok.Odbyła się olimpiada w Paryżu, na której zdobyliśmy jeden złoty medal. Polska wybuduje bagna i mokradła na wschodniej granicy za 10 mld zł. Masło jest po 10 zł. Szczęśliwego nowego roku.

AWŁ

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 71af296b8a

Katechizm Nawrockiego

Jedynie słuszne poglądy kandydata PiS

Z twarzy podobny całkiem do nikogo – tak frazą z filmu Barei wiele osób reaguje na „obywatelskiego" kandydata na prezydenta, Karola Nawrockiego. *Och, Karol* – chciałoby się przytoczyć tytuł pewnej polskiej komedii. A przecież potencjalny strażnik żyrandola w Pałacu Prezydenckim zasługuje, aby przedstawił się sam. Jako osoba mu niezwykle życzliwa postanowiłam stworzyć katechizm Nawrockiego składający się z pytań i odpowiedzi.

Katechizm to zacna forma związana nie tylko z Kościołem katolickim. Katechizmem zwane są wszak „Zasady komunizmu" Fryderyka Engelsa z 1847 r. Jako iż kandydat Prezesa budzi wiele pytań, dajmy mu szansę sformułować własne odpowiedzi, które pokażą, co to za człowiek. Co sobą reprezentuje, co jest mu bliskie, a co równie dalekie jak mnie etyka seksualna Kościoła katolickiego. Będzie to krótki katechizm, składający się z siedmiu pytań, wszak jest siedem grzechów głównych…

Dlaczego chce pan startować w wyborach prezydenckich?

– Czuję, że wobec Polski jestem zobowiązany, żeby włożyć na siebie cięższą zbroję, jeśli zajdzie taka potrzeba („Rzeczpospolita", listopad 2024 r.). *Polska potrzebuje dzisiaj odpowiedzialności, a Polacy są gotowi poprzeć kandydata bezpartyjnego i obywatelskiego* (TV Republika, listopad 2024 r.). *To z jednej strony zaszczyt, a z drugiej strony ogromne zobowiązanie i duży wysiłek, natomiast moja miłość do Polski dojrzewa już od wielu lat (…) uznałem, że Polska potrzebuje odpowiedzialności, a Polacy są gotowi, by poprzeć kandydata bezpartyjnego* (TV Republika, listopad 2024 r.).

Jak ludzie zareagowali na pana kandydaturę na urząd prezydenta RP?

– Coraz bardziej mi się podoba to, w czym uczestniczę. Muszę powiedzieć, że naprawdę niesamowity jest ten entuzjazm tłumów ludzi (Onet, grudzień 2024 r.).

Jak budować siłę Polski?

– Polityka historyczna to we współczesnym świecie bardzo poważne narzędzie służące realizowaniu interesów poszczególnych państw. (…) Polska po 1945 roku nie miała możliwości, a po 1989 roku – przez wiele lat – woli politycznej prowadzenia skutecznej, suwerennej polityki pamięci. W tym czasie wiele światowych mocarstw, ale też mniejszych państw, dzięki narracji historycznej budowało swój potencjał, który w niektórych kontekstach nazywa się soft power i wpływa na prestiż danego narodu („Gazeta Polska", maj 2021 r.).

Kim są Polacy?

– Jesteśmy dumnym narodem, z ogromną tożsamością, której nie powinniśmy pozwolić sobie zabrać (XIX Zjazd Klubów „Gazety Polskiej", czerwiec 2024 r.). *Nie dajmy sobie wmówić kompleksu polskości. Jesteśmy wielkim narodem, który zasługuje na aspiracje i realizację wielkich projektów* (TV Republika, listopad 2024 r.).

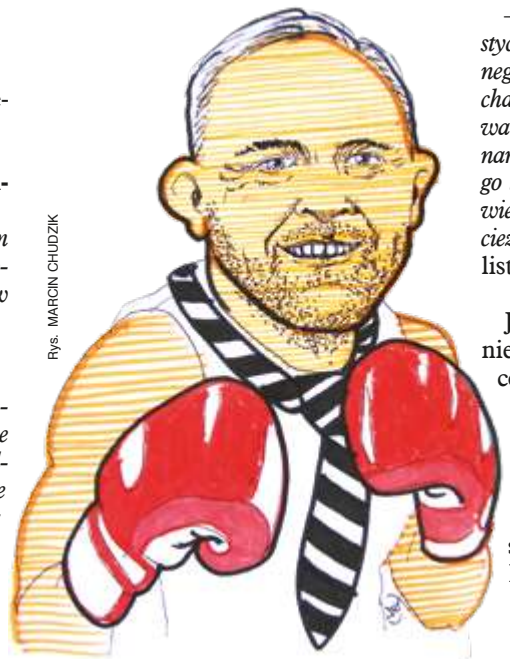

Rys. MARCIN CHUDZIK

Kto jest dla pana bohaterem?

– Odradzająca się III Rzeczpospolita bardzo długo czekała, by bohaterom polskiej wolności oddać hołd. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych żołnierze podziemia antykomunistycznego nie byli w powszechnej świadomości Polaków bohaterami. To dopiero prof. Janusz Kurtyka, prof. Lech Kaczyński usankcjonowali normalność, inicjując hołd dla Żołnierzy Wyklętych (TV Republika, marzec 2021 r.).

Co pan – jako kandydat obywatelski – sądzi o lewicy?

– Przedstawiciele lewicy postkomunistycznej (…) są zagrożeniem dla suwerennego państwa polskiego. Neokomunizm charakteryzuje się przecież m.in. pozbywaniem się granic państw, zacieraniem narodowej tożsamości, kreowaniem nowego typu człowieka – wyrwanego z korzeni wiekowych tradycji, a do tego Europa przecież w pewnym zakresie zmierza (Sieci, listopad 2023 r.).

Jak dla mnie Karol N., choć na razie nie porywa ludzi, to jednak zna takich, co porywają. Ale na ile będzie w stanie skutecznie się wykreować na ojca narodu i personę ważną i poważną, tego dziś nie sposób przewidzieć. Jeśli mu się uda, będzie to największy przekręt od czasów, gdy cwany warszawiak sprzedał wieśniakowi most Kierbedzia…

KAT

Biejat ostatniej szansy

Nie zgadzam się z Wołk-Łaniewską w sprawie kandydatki lewicy

Wybory prezydenckie mogą przesądzić o przyszłości Lewicy. Kolejna wyborcza kompromitacja będzie nie tylko kolejną porażką Czarzastego – przede wszystkim będzie to kolejny krok w kierunku marginalizacji lewicy na polskiej scenie politycznej. Osiągnięcie zaś wyniku niegodzącego w powagę kandydata i odróżniającego się od ostatnich procentów wyborczych list Lewicy doda formacji nieco tlenu na najbliższe miesiące. W takim razie, czy Magdalena Biejat jest dobrym wyborem? Trudno stwierdzić, ale z pewnością nie jest to wybór z góry skazany na porażkę.

Bez pośpiechu

Sam fakt, że lewica jako ostatnia ogłosiła swoją kandydatkę, nie musi być tylko bezsensownym graniem na zwłokę czy też wyrazem poddania wyborów, gry na zwiększenie szans Rafała Trzaskowskiego. Lewica nie ma zbyt wiele czasu ekranowego, stąd ogłoszenie startu Biejat równocześnie z konwencjami Koalicji Obywatelskiej i Prawa i Sprawiedliwości sprawiłoby, że informacja o tej kandydaturze przepadłaby w hałasie medialnych przepychanek fanatyków Platformy i PiS-u. Poza tym kampania oficjalnie się jeszcze nie rozpoczęła; wszystkie działania sztabów prowadzone są nieco na granicy legalności. Stąd też Lewica nie miała powodów do pośpiechu.

Czy kandydatce udało się jednak zdobyć uwagę dziennikarzy? Cóż, niekoniecznie. Start Biejat zaćmił Dariusz Wieczorek, były już minister nauki i szkolnictwa wyższego, który stał się prawdziwą gwiazdą mediów – i nie tylko. Gdy spojrzymy na statystki ruchu w internecie, to nazwisko eksministra wyszukiwane było średnio sześciokrotnie częściej niż kandydatki na prezydenta. Wiadomo, pamięć wyborców bywa krótka i za pół roku wielu zapomni o wyczynach kumpla Czarzastego, ale na samym starcie kampanii Biejat jej klubowy kolega jest ogromnym obciążeniem wizerunkowym.

Jak już jesteśmy przy wizerunku – tutaj kierownictwo Nowej Lewicy znów zagrało bezpiecznie. Biejat trudno wiele zarzucić; ot, benefity bycia kimś względnie nowym w polityce. Biedroń od początku kampanii skazywany był na porażkę, bo już dawno wyczerpał swój kredyt świeżości, a ponadto podpadł wyborcom niewywiązaniem się z obietnicy zrzeczenia się mandatu europosła. Wygrały brukselskie pieniądze, przegrał polski Biedroń, ale to chyba nieszczególnie zabolało lidera Lewicy.

Biejat nie ma tego problemu. Nie kojarzy się ze starym SLD, nie można jej przykleić łatki postkomunistki ani nawet produktu wykreowanego przez Nową Lewicę, bo przecież do niedawna była w Razem (co więcej, jako współprzewodnicząca).

Z kapitałem

Tu, niestety, pojawia się „ale": w niektórych lewicowych bańkach kandydatka ma łatkę zdrajczyni. W końcu sprzedała ideały, by dołączyć do strony rządowej. W dodatku, będąc jeszcze w partii Adriana Zandberga, deklarowała, że w wyborach prezydenckich nie zamierza startować niezależnie od politycznej konfiguracji, w jakiej miałoby się to odbyć.

Czy taka zmienność jest wybaczalna? Osobiście nie miałbym do wicemarszałkini senatu pretensji.

Można mówić, że sprzedała się Czarzastemu i spółce, ale można też zapytać: jeśli otrzymała od Nowej Lewicy propozycję, która obudziła jej większe ambicje polityczne, to co w tym złego? Czy nie takich właśnie ambicji powinniśmy oczekiwać od polityków?

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Szczególnie tych aspirujących do urzędu prezydenta Rzeczypospolitej?

Istnieje znacząca różnica między zmianą stron – jak w przypadku posłanki Moniki Pawłowskiej – a zachowaniem Biejat. Tak więc łatka zdrajczyni, owszem, pojawia się, ale tylko w bańce ideologicznych lewicowych purystów związanych z partią Razem. U neutralnego elektoratu kandydatka Lewicy wciąż cieszy się czystą kartą.

Co jeszcze gra na korzyść byłej polityczki Razem? Wyborcza przeszłość.

Ponad 200 tys. głosów w ostatnich wyborach do senatu. To – nawet biorąc pod uwagę handicap, jaki dawał pakt senacki – wynik całkiem przyzwoity. A co ważniejsze: prawie 100 tys. głosów w Warszawie w wyborach samorządowych.

Zdobycie niemal 13 proc. w warunkach platformerskiego zabetonowania warszawskiego elektoratu to jednak sukces. Przecież prawda jest taka, że każdy kontrkandydat Trzaskowskiego skazany był na porażkę. Co więcej, dobry wynik w maju będzie mógł stanowić fundament do startu Biejat w kolejnym boju o warszawski ratusz – zakładając, że to Rafał Trzaskowski przeniesie się do Pałacu Namiestnikowskiego. Wtedy kandydatka Lewicy, po zyskaniu ogólnopolskiej rozpoznawalności, będzie miała szanse na jeszcze lepszy wynik; co w konsekwencji zapracuje też na lepszą kondycję i wizerunek Nowej Lewicy jako partii.

To jednak na razie tylko gdybanie, choć sądzę, że podobny scenariusz zrodził się również w głowach osób, które na tę właśnie kandydaturę w partii postawiły.

Z hymnem

Warto jeszcze zaznaczyć, że sama konwencja, na której ogłoszono kandydaturę, wyglądała całkiem przyzwoicie. W przeciwieństwie do politycznych gigantów Lewica postawiła na skromną estetykę, bez ogromnych trybun i masy działaczy ściągniętych ze wszystkich zakątków Polski, by ci robili za statystów w politycznym przedstawieniu. Przemówienia ministry Agnieszki Dziemianowicz-Bąk i Krzysztofa Kukuckiego (prezydent Włocławka, zdecydowanie perspektywiczny polityk) nie sprawiały, że chciało się jedynie, by dobiegły końca… W partii wciąż są osoby, które są w stanie wymiernie wspomóc kandydaturę Biejat, zamiast obciążać ją, nadszarpując dobre imię Lewicy – jak eksminister Wieczorek.

I jeszcze jeden drobny detal: odśpiewanie hymnu (i to wszystkich jego zwrotek). Niby oczywista oczywistość, ale kiedy można odnieść wrażenie, że niektóre stronnictwa lewicowe identyfikują się bardziej jako ugrupowania europejskie niż polskie, takie szczegóły mają znaczenie. Tym bardziej że mimo upływu lat w internecie krąży nagranie wicepremiera Krzysztofa Gawkowskiego śpiewającego Międzynarodówkę, co przeszkadza wielu uprzedzonym do wszystkiego choćby w minimalnym stopniu kojarzącego się z socjalizmem. Takie nagrania – jak to czy równie słynne w necie zdjęcie Zandberga w koszulce z Marksem – są dla Lewicy tym samym co fotka, na której Nawrocki jakoby hajluje ze swoimi brunatnymi kolegami: niepotrzebnym obciążeniem wizerunkowym. Dobrze, że marketingowcy Nowej Lewicy starają się o to zadbać. Jedyne, co może lekko kłuć w oczy, to grafika promująca nazwisko Biejat zrobiona dość mocno w stylu Trumpa i estetyki *Make America Great Again*. Dziwny zabieg; tak samo jak promowany dość na siłę slogan o *dziewczynie z sąsiedztwa*, który niewiele znaczy. Ale to detale.

Odzyskać lewicę

Uważam, że Biejat ma szansę. Nie na zwycięstwo – na uniknięcie przez Lewicę kolejnej wyborczej kompromitacji.

Ale żeby osiągnąć satysfakcjonujący wynik, wicemarszałkini senatu musi przede wszystkim przekonać do siebie wyborców lewicy. Według badania przeprowadzonego przez sondażownię Opinia 24 dla radia RMF FM na kandydata Nowej Lewicy gotowych jest aktualnie głosować zaledwie 44 proc. lewicowego elektoratu. Niemal drugie tyle chce od razu głosować na kandydaturę im. Donalda Tuska w osobie Trzaskowskiego.

Mówiąc realistycznie: trudno będzie Biejat odebrać wyborców prezydentowi Warszawy. Tak więc kampania będzie przede wszystkim walką o odzyskanie własnego elektoratu zniechęconego ostatnimi działaniami Czarzastego, Biedronia i spółki. Wiele będzie też zależeć od tego, czy i kogo wystawi ugrupowanie Zandberga – bo to z nimi trzeba będzie walczyć zaciekle o jeden elektorat.

Te wybory mogą zawrócić Nową Lewicę z drogi do politycznego grobu bądź też być ostatnim gwoździem do jej trumny. To zdecydowanie będą interesujące miesiące.

NIKODEM KUSZ

eprasa.pl 71af296b8a

ETYKA BEZBOŻNA

Romanowski prezerwatysta

Okrakiem między demokracją a autorytaryzmem

Chryja z Romanowskim, któremu król sąsiedniego królestwa miłościwie udzielił azylu, trochę śmieszy, trochę przeraża, a trochę daje do myślenia. Ja jestem bardziej od myślenia, więc aż tak straszno i śmieszno nie będzie.

Na pewnym poziomie azyl dla ewidentnie skorumpowanego polskiego urzędnika udzielony przez ewidentnie korupcyjny reżim zaprzyjaźnionej z polskimi gangsterami politycznymi oligarchii to coś zupełne trywialnego – ot, kolejny pokaz buty populistycznych oligarchów, jakich wielu na całym świecie. A jednak nie da się tego wyśmiać, bo

ten bezprecedensowy akt pogardy dla prawa i moralności ma miejsce w Unii Europejskiej. Orbán, który doskonale wie, że Romanowski na polecenie Ziobry najordynarniej w świecie ustawiał konkursy na dotacje z Funduszy Sprawiedliwości, pokazuje fucka nie tylko Tuskowi i państwu polskiemu, lecz całej Europie.

„Walcie się ze swoją praworządnością" – mówi Unii Karmicielce rozbisurmaniony dyktatorek ze wschodniej Europy. Co poszło nie tak, że byle kto może Unii grać na nosie?

A może nie tyle grać na nosie, ile się droczyć? Nie wiemy jeszcze, jak daleko Orbán się posunie. Czy nakaże swojemu sądowi odrzucić europejski nakaz aresztowania, rzucając ostateczne wyzwanie Warszawie i Brukseli, czy też za kilka tygodni, wskutek jakichś zakulisowych pogaduszek odda nam naszą cenną zgubę? Zapewne jednak odda, czegoś tam żądając w zamian – może jakichś kolejnych ustępstw w sprawach unijnych i dalszego tolerowania ekscesów jego dyktatury? Ale może też być inaczej. Może Orbán potrzebuje igrzysk i spektakularnej awantury, wobec czego nie tylko nie odda nam Marcinka, ale jeszcze przytuli Danielka? Z takim to nigdy nie wiadomo. Zresztą jego gierki obliczone są również na podobanie się w Moskwie, wobec czego tym bardziej są nieprzewidywalne.

Tak czy inaczej, praworządność, a ściśle rządy prawa najwyraźniej zeszły w Unii na drugi plan, skoro można sobie z Zachodem tak pogrywać i wyciągać przy tym łapę po pieniądze. Takie czasy. Jednakże sprawa ma jeszcze drugie dno. Wprawdzie Romanowski, Orbán i my wszyscy, maluczcy, przy okazji wiemy, co to jest ustawianie konkursów i na czym polega nielegalne finansowanie kampanii wyborczej z pieniędzy publicznych, ale nie znaczy to jeszcze, że jesteśmy w pełni odporni na etyczne rżnięcie głupa w tej sprawie. A z takim pseudomoralizatorstwem mającym nie tylko usprawiedliwiać korupcyjne praktyki, lecz nawet przedstawiać je jako najzupełniej normalne i słuszne, mamy wszak tutaj do czynienia. Być może całkiem cynicznie i bezczelnie, a być może z jakaś połowiczną wiarą we własne słowa Romanowski i jego koleżkowie zapewniają, że rozdawanie pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości swoim kumplom i zwolennikom, zwłaszcza w okręgach wyborczych, skąd startują kolesie z ich partii, to rzecz najnaturalniejsza pod słońcem oraz zgodna z prawem. Przecież Ziobro jako minister sprawiedliwości wydał rozporządzenie dające mu możliwość swobodnego dysponowania funduszem niezależnie od wyników konkursów. A jeśli chodzi o uzgadnianie z zaprzyjaźnionymi podmiotami startującymi w konkursach, co powinno się znaleźć w ich wnioskach, to chyba nie ma nic złego w tym, że wspiera się szlachetne organizacje, pomagając im bezpiecznie przebrnąć przez biurokrację? A już zwłaszcza gdy są to organizacje związane z Kościołem świętym!

Z punktu widzenia etosu nowoczesnego państwa prawa, tak naprawdę doskonale znanego zarówno Romanowskiemu, jak i Orbánowi, wszystko jest jasne jak słońce. Rozporządzenia do ustawy muszą być zgodne z jej celami, ale nie wypaczać je i sankcjonować całkowitą samowolę i uznaniowość decyzji władzy wykonawczej. Konkursy natomiast są po to, by władza nie rozdawała pieniędzy wedle własnego uznania i wedle własnego interesu, wobec czego każda ewentualna rozbieżność między rekomendacjami niezależnej i procedującej na uczciwych zasadach komisji konkursowej a finalnymi decyzjami urzędnika musi być czymś wyjątkowym i solidnie umotywowanym. Do przebiegu publicznych konkursów władza nigdy nie powinna się wtrącać, a zwłaszcza nie powinna wywierać na komisję żadnych nacisków ani faworyzować i wspierać jednych uczestników konkursu kosztem innych. To jest jakiś kompletny elementarz rzetelnego urzędowania i kto łamie te zasady, ten nadużywa stanowiska i popełnia przestępstwo urzędnicze. A jeśli robi takie rzeczy systematycznie i wespół z kilkoma innymi osobami, to oznacza, że bierze udział w zorganizowanym procederze grupy przestępczej. I ma to miejsce nawet wtedy, gdy nie dochodzi do bezpośredniego transferu środków publicznych na prywatne konta, czyli do zwyczajnej kradzieży.

A jednak taka stara poczciwa moralność ludowa, sięgająca czasów króla Ćwieczka, wie jedynie, co to kradzież, a pojęcie korupcji jest jej nieznane. Nie zna też ona pojęcia praworządności, a tym bardziej pojęcia rządów prawa. W archaicznej moralności władza widziana jest właśnie jako suwerenny decydent karzący zło i nagradzający dobro. Skoro Ziobro jest władzą i ma do rozdawania pieniądze, to trzeba go oceniać wedle tego, czy dał je potrzebującym, czy może zatrzymał dla siebie. Skoro dał, i to jeszcze na bożą chwałę, takim, którzy na to zasługują, to jakże można go za to ganić?! Tak myśli sobie pradawny człowiek boży i tak myśleli sobie dawni władcy, gdy sypali obolami bądź innymi tam dukatami. Kto to widział, żeby jakaś ustawa była ponad władzą, a władza miała się słuchać papieru! I jeszcze te jakieś komisje! Czyżby komisje były ważniejsze od ministra?

Przeszliśmy bardzo długą i trudną drogę, by wcielić w życie te dziwne i abstrakcyjne zasady państwa opierającego się na prawie, respektującego zasady równych szans, bezstronności i demokratyzmu w procesach decyzyjnych. Przeszliśmy ją jednakże głównie w ramach kultury mieszczańskiej, podczas gdy w świecie bardziej ludowym wciąż panuje archaiczny paternalizm. Tacy ludzie jak Romanowski stoją jakby okrakiem pomiędzy demokratyczną nowoczesnością i klerykalnym autorytaryzmem. Pozwala im to ławo usprawiedliwiać swoje nadużycia, w czym też mogą bez trudu uzyskać wsparcie prostego człowieka, który żadnym okrakiem nie stoi ani nie siedzi, a tylko myśli i czuje po staremu. W tym sensie jest nawet uczciwy. Ale taki Romanowski czy Orbán bynajmniej uczciwi nie są. Nawet jeśli autentycznie tęsknią za dawnym światem, gdzie władza miłościwie rządziła pokornym ludkiem, to jednocześnie wiedzą doskonale, na jakim świecie żyją i do czego zobowiązuje ich prawo. Udają więc kulturowe skamieliny, by rozgrywać swoje interesy. To się u nich nazywa konserwatyzm. Jednakże bardziej poprawny leksykograficznie termin to „prezerwatyzm" oznaczający gorliwość w chronieniu i zabezpieczaniu. Tradycji, siebie samego, a jak trzeba, to i płaskiego brzuszka kochanki.

JAN HARTMAN

Jak odlesić Polskę

Dobre rżnięcie Tuska

Ilustr. PAWEŁ FERENC

W grudniu 2023 r. siedmioletni wówczas Jasio z Brudzewa nieopodal Gdyni znalazł pod choinką premiera Donalda Tuska. No, może nie pod choinką, a na progu domu, ale o drzewko się rozchodziło. Mały Jan napisał do Donka list gratulacyjny z okazji objęcia stołka premiera, przy okazji wyjawił, że chciałby poznać swojego idola osobiście, i zaapelował, by nowy szef nowego rządu walczył z wycinkami lasów. Tusk Jasia odwiedził i zostawił z obietnicą, że zobaczy, czy da się wycinkę zatrzymać. Na koniec 2024 r. o rok starszy Jasio się dowiedział, że polityczne obietnice są wuja warte.

Wyłączanie społeczne

Jedną z kiełbas wyborczych Koalicji 15 Października była rezygnacja z wycinki 20 proc. najcenniejszych obszarów leśnych sklasyfikowanych jako cenne przyrodniczo bądź społecznie. Obszary te – według zapowiedzi – miały zostać częściowo bądź całkowicie wyłączone z użytkowania gospodarczego. Ochłap politycznej woli rzucono nieprzypadkowo i celnie, bo według badań opinii publicznej wkurwionej okresem, kiedy Lasy Państwowe padły łupem Suwerennej Polski, reformy zarządzania publicznymi lasami na rzecz zwiększenia ochrony przyrody oczekuje 82 proc. Polaków. Wyłączenia zaś wspomnianych 20 proc. lasów z wycinek popiera aż 85 proc. społeczeństwa. Klucz do znalezienia nowej formuły funkcjonowania lasów w Polsce miał zostać wypracowany ze stroną społeczną w trakcie zespołu działań, spotkań i konsultacji pod wspólnym szyldem zainaugurowanej w kwietniu 2024 r. Ogólnopolskiej Narady o Lasach. *Transformacja ta jest niezbędna, by dostosować obecny model ochrony i użytkowania lasów do aktualnych wyzwań związanych ze zmianą klimatu, utratą różnorodności biologicznej, jak również do oczekiwań społecznych i gospodarczych* – perorowało Ministerstwo Klimatu i Środowiska, jednocześnie zapewniając, że rekomendacje wypracowane w mariażu partycypacji obywatelskiej i Lasów Państwowych weźmie sobie do ministerialnego serduszka. Po blisko roku od złożonych obietnic wiele wskazuje na to, że postulaty zostały nawet nie w lesie, a w ciemnej dupie.

Wydymani piłą

Początki realizacji leśnej bajki wyglądały nawet obiecująco. Witold Koss, mianowany przez premiera Tuska nowy dyrektor generalny Lasów Państwowych, jakby na potwierdzenie dobrych intencji jeszcze w marcu 2024 r. dumnie ogłosił rezygnację z rżnięcia drzewostanu w jednym z najcenniejszych polskich lasów – podszczecińskiej Puszczy Bukowej. Podczas narad o lasach, które miały być wstępem do debaty o ochronie drzewostanów, krok po kroku wyszło na jaw, że Lasy Państwowe postulaty społeczników przerobią na wióry. Prędko okazało się, że „plan 20 proc." został przez resort leśny kreatywnie rozwodniony. W tereny wyłączone od pozyskiwania drewna wciągnięto wyspy, torfowiska, jeziora, bagna, a w granicach wspomnianej Puszczy Bukowej – nawet teren strzelnicy wojskowej. Krótko mówiąc: obszary, na których i tak nie jest prowadzona gospodarka leśna. A to nie koniec kuriozów. Leśnicy zaproponowali, aby na jednym z terenów wyłączyć z wycinek obszary porośnięte robinią akacjową, która jest gatunkiem inwazyjnym… Z wyznaczaniem lasów społecznych poszło jak z jazdą na gołej dupie po nieoheblowanej desce. Resort klimatu i środowiska zaplanował, że wokół 14 miast (m.in. Warszawy, Gdańska, Krakowa, Sopotu, Wrocławia, Gdyni, Łodzi, Poznania, Torunia, Katowic, Szczecina, Kielc i Bielska-Białej) zostaną wyznaczone tereny, które choć niekoniecznie prezentują ogromną wartość przyrodniczą, to pełnią ważne funkcje społeczne. Są miejscami wszelkiej aktywności plenerowej, ostoją dla zwierzyny i obniżają temperaturę wokół aglomeracji. Naturalnie tam również wycinka miała być wstrzymana.

Na początku września minister Mikołaj Dorożała przekazał dyrektorowi generalnemu Lasów Państwowych wytyczne i rozpoczęły się spotkania stron: leśników oraz regionalnych zespołów złożonych z aktywistów, naukowców i samorządowców. Trzema kluczowymi pojęciami w negocjacjach okazały się: wyłączenia, ograniczenia i modyfikacje. Wyłączenia, których najbardziej oczekuje strona społeczna, oznaczają wyjęcie terenu z upraw leśnych. Ograniczenia pozwalają na wycięcie do 50 proc. drzew. Modyfikacja zaś (tej najbardziej przyklasnęli leśnicy) to nie zmniejszenie rżnięcia, a zmiana jego sposobu. I tak

tuż po zakończeniu negocjacji aktywiści z Poznania odkryli, że na terenie lasu zaproponowanego przez nich jako społeczny zniknęła część drzew. Od leśników mieli usłyszeć, że tak właśnie wygląda ograniczanie, bo zastosowano inny sposób niż rębnia zupełna, czyli wycięcie wszystkiego w pień.

Krakowscy społecznicy przedstawili propozycję, aby lasy społeczne objęły 73 proc. obszarów wokół znanego z krystalicznie czystego powietrza miasta. Lasy Państwowe położyły na stole 7,5 proc., w tym takie miejsca jak kawałek lasu między autostradą a linią kolejową. W Gdańsku propozycja Lasów skupiła się na 1400 ha, w tym – kto by się spodziewał – już istniejących rezerwatów i obszarów pokrytych wodą.

Kwadratura koła

Dyrekcja Lasów Państwowych zasłania się faktem, że potrzebuje wskazania podstawy prawnej funkcjonowania lasów społecznych, by ustalenia przełożyć na funkcjonowanie konkretnych nadleśnictw. Tego samego, choć ze zgoła innych powodów, oczekują społecznicy.

Koniec roku w Lasach Państwowych to moment rozpisywania przetargów na prace leśne na kolejnych 12 miesięcy. Jeśli zatem zostaną podpisane umowy na wyrąbanie drzew w lasach społecznych, ciężko będzie to zmienić. A jak podkreśliła w jednym z dokumentów rzeczniczka Lasów Państwowych Anna Choszcz-Sendrowska, *wstrzymanie działania nadleśnictw, w tym przetargów na usługi, bez jasno określonego terminu, zakresu lasów o wiodącej funkcji społecznej i reguł działania nadleśnictw uważamy za niemożliwe*, bo jak wyłuszczyła, *gospodarka leśna, szczególnie wokół dużych miast, to dziedzina skupiająca zbyt wielu interesariuszy, by decyzje podejmować pochopnie*. Właściwie można się rozejść, bo decyzji Ministerstwa Klimatu i Środowiska w tym zakresie wciąż brak. Nie reaguje ono również na prośby aktywistów o zawieszenie zrębów na czas negocjacji. Każdy miesiąc zwłoki może zatem poskutkować tym, że część lasów upatrzonych przez aktywistów wyjedzie na ciężarówkach i problem z obiecanym pospólstwu współdecydowaniu o kniejach rozwiąże się sam. Minister Dorożała do części zarzutów wobec leśniczych szpagatów odniósł się we wpisie w social mediach. Ulokowanie bagien, stawów i pastwisk w obszarach wyjętych spod wycinek nazwał pomyłką LP i zaznaczył, że to tylko *propozycja* do analiz. Nie pochylił się jednak nad tym, że Lasy Państwowe jako gospodarz rozmów są sędzią we własnej sprawie i nie zamierzają z tego przywileju rezygnować. Dopóki LP nie obejmie głęboka reforma z wmontowaniem w nią działających i solidnych bezpieczników, wszelkie umowy koalicyjne o społecznej kontroli nad lasami będą warte tyle, ile farmazony Tuska opowiadane Jasiowi z Brudzewa.

IDALIA DUBICKA

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Marszałek Szymon Hołownia chciałby być jak sklep z zabawkami: bawić i uczyć. Ta taktyka pozwoliła mu osiągnąć 10-procentowy poziom popularności, co przed wyborami prezydenckimi sytuuje go na pozycji tuż za Mentzenem.

Pod koniec zeszłego roku Hołownia powiedział coś, co mu tej pozycji nie poprawi. Na spotkaniu z wyborcami w Pabianicach oznajmił, że *jako poseł nie zagłosuje za ustawą wprowadzającą możliwość aborcji do dwunastego tygodnia ciąży, ale jako prezydent podpisałby ją [ustawę], jeśli zdecydowaliby o tym Polacy w referendum*.

Można być pewnym, że w wyborach prezydenckich Polacy nie zagłosują na tak wybitnego przedstawiciela schizofrenii politycznej.

eprasa.pl 71af296b8a

W przyszłym roku pójdziemy naprawdę wybierać naszą przyszłość

Rok Węża

Polski kalendarz polityczny podobny jest do tradycyjnego chińskiego kalendarza. W chińskim nowy rok 2025 zacznie się 29 stycznia. W Polsce życie polityczne obudzi się ze świątecznego letargu po Trzech Królach, a tempa nabierze w połowie stycznia.

Rok Węża w chińskiej kulturze uważany jest za czas przeobrażeń i głębokiej refleksji. Ten rok niesie wiele tajemnic. Od ludzi aktywnych wymagać będzie podczas podejmowania decyzji wielkiej mądrości i trafnej intuicji. W Polsce roku 2025 przeorze naszą scenę polityczną. Mądrość i intuicja wyborców zadecydują nie tylko o najbliższej pięciolatce politycznej, ale także o kolejnym pięćdziesięcioleciu.

Wiszący na żyrandolu

Przyszłość aktualnej koalicji rządzącej zależy od wybranego w maju 2025 r. prezydenta RP. Posiadającego silny mandat wybrańca powszechnych ogólnopolskich wyborów i ograniczoną konstytucją władzę.

Dlatego prezydent RP może być jedynie strażnikiem żyrandola, jak pogardliwie nazwał go kiedyś aktualny premier Donald Tusk. Ale może też być silnym, kreatywnym prezydentem, jakim był kiedyś Aleksander Kwaśniewski. Innym niż aktualny prezydent hamulcowy Andrzej Duda.

Premier Leszek Miller, którego wiedzę i intuicję cenię, celnie zauważył, że majowe wybory prezydenckie rozstrzygną też losy obecnej koalicji rządzącej.

Bo jeśli wygra kandydat PiS, to tuskowa koalicja szybko upadnie. Bo antytuskowy prezydent będzie mógł skutecznie blokować prace tego rządu przez kolejne lata.

Dziś każda krytyka wolnych prac reformatorskich aktualnego rządu może być odparta prostym argumentem. Dzielny premier Tusk nie może rozwinąć swych skrzydeł, bo kapryśny prezydent Duda od razu obetnie je swoim wetem.

Podobnie nie można wprowadzić do parlamentarnych debat projektów wielu niezbędnych ustaw, bo będzie to jedynie mozolna, czasochłonna praca, która zawsze pójdzie na marne, zabita w finale prezydenckim wetem.

Nietrudno dostrzec, że taka polityka prezydenta Dudy skutecznie spaja różne partie rządzącej kolacji. Uzasadnia trwanie w niej niezadowolonych koalicjantów, bo zawsze można obiecać wściekłym wyborcom realizację ich postulatów po bliskim już odsunięciu od władzy wetownika Dudy. Kiedy koalicjanci triumfalnie ogłoszą: „nasz premier i nasz prezydent".

Nie zdziwmy się zatem, jeśli w końcówce kampanii wyborczej premier Tusk wezwie wszystkich krajowych proeuropejczyków i demokratów do rozstrzygnięcia wyborów już w pierwszej turze. Do zagłosowania na Rafała Trzaskowskiego. Ponad partyjnymi podziałami.

Uzasadni to szeroko rozumianym dobrem Polski. Wszystkich Polaków i innym tam bla, bla, bla. Uczyni to w oparach deklarowanego szacunku dla pozostałych prokoalicyjnych kandydatów. Aby zbytnio nie osłabić przyszłych potencjalnych koalicjantów. Nie urazić dumy ich liderów.

Dla marszałka Szymona Hołowni i marszałkini Magdaleny Biejat kampanie wyborcze będą inwestycją w przyszłość. W ich własne kariery medialne i polityczne. Zwłaszcza senatorka Biejat ma wielką szansę zyskać krajową rozpoznawalność w internecie na poziomie topowej influencerki.

Oboje skazani są jednak na marginalizację w mediach zainteresowanych przede wszystkim najbardziej nośnym pojedynkiem Trzaskowski–Nawrocki. Zainteresowanych też potencjalną ostrą rywalizacją dwóch prawicowych kandydatów Nawrocki – Mentzen.

To sprawia, że kandydatka lewicy i kandydat Trzeciej Drogi skazani są na role przedskoczków. Tła dla rywalizacji najważniejszych zawodników. Jeśli pomimo tego uda im się uzyskać wyniki powyżej 5 proc. poparcia, to zrobią tym dobre uczynki dla swych macierzystych formacji politycznych. Wzmocnią je przed wyborami parlamentarnymi. I przyszłorocznymi wyborami nowych kierownictw swych partii. Ku chwale ich chwalebnej przyszłości.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Socjalne oblicze rządu

Wynik kandydata Mentzena również zdecyduje o przyszłości Konfederacji. Jeśli uczyni on z Konfederacji trzecią siłę prezydenckich wyborów, to Konfederaci zapragną być też trzecią siłą w nowym parlamencie. A ich lider Mentzen, polityk gładki i umiarkowany, będzie miał zdolności zawarcia koalicji nie tylko z PiS, lecz także z prawicowym odłamem PSL.

Wygrana Karola Nawrockiego, kandydata obywatelskiego pana prezesa Kaczyńskiego, jest dziś mało prawdopodobna. Ale w przyszłości może być możliwa. Nie dlatego, że kandydat Nawrocki przekona wyborców do swego programu i swych prezydenckich kwalifikacji. Na jego poparcie będzie pracować do maja przyszłego roku aktualna koalicja rządząca. Im gorzej będą wyborcy oceniać rząd premiera Tuska, tym bardziej spadać może poparcie dla kandydata Trzaskowskiego uważanego za kandydata tego rządu.

Przyszłość prezydencka Trzaskowskiego zależy od przyszłorocznej polityki rządu. Przyszłość rządu Tuska i hegemonii Koalicji Obywatelskiej od przyszłej prezydentury Trzaskowskiego. Dlatego nie zdziwmy się, jeśli w przyszłym roku rząd Tuska pokaże swe socjalne oblicze. Kiedy okaże się, że są jednak pieniądze dla obywateli – wyborców.

Jeszcze w tym roku pojawiły się przecieki, że przyszłoroczna rewaloryzacja emerytur będzie większa. Nie o zapowiedziane w tym roku 5 proc., lecz o ponad 8 proc. W marcu zostaną też wypłacone wszystkim emerytom trzynastki. W kwietniu biedniejszym rząd wypłaci czternastki.

Żyć nie umierać!

Trzeba przypomnieć, że w Polsce emeryci są wielomilionową rzeszą, która regularnie uczestniczy w wyborach. Ich głosy zdecydować mogą o przyszłym prezydencie i przyszłym premierze też.

Rząd na pewno sypnie pieniędzmi również innym wyborcom, bo w III RP prezydent nie tylko wetuje ustawy. Prezydent powołuje też swoich członków Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, czyli ma wpływ na media publiczne. Bez jego woli media publiczne nie mają w Polsce przyszłości.

Wnioskuje prezydent też o powołaniu prezesa Narodowego Banku Polskiego i członków Rady Polityki Pieniężnej. Bez woli prezydenta przyszłość polskiej gospodarki i portfeli polskich obywateli jest niewiadoma.

Od wyboru prezydenta RP zależy też przyszłość pana prezesa Kaczyńskiego. Zwycięstwo kandydata Nawrockiego to przedłużenie politycznego żywota jego.

Za to przegrana Nawrockiego otwiera przyszłość dla setek działaczy PiS młodszej generacji pragnących wymiany pokoleniowej na prawicy. Upatrujących swą przyszłość bez historycznego, lecz dziaderskiego pana prezesa.

Nie zdziwmy się, jeśli młody PiS wesprze kandydata Konfederacji, a nie kandydata prezesa, który powinien już odejść. Zwłaszcza kiedy rząd rewaloryzuje mu już pobieraną emeryturę.

Towar eksportowy

Wybierając prezydenta RP na najbliższe pięć lat, musimy pamiętać, że wybieramy przede wszystkim nasz produkt eksportowy. Reprezentanta III RP na arenie międzynarodowej.

Tam nie trzeba nosić lodówek ani popisywać się znajomością cen masła. Przyszły prezydent RP będzie za to musiał utrzymywać relacje z transakcyjnym prezydentem Trumpem, dalekowzrocznym przewodniczącym Xi, przebiegłym prezydentem Zełenskim, chytrym premierem Orbánem, różnorodną wierchuszką Unii Europejskiej, a nawet prezydentem Putinem.

Jeśli w przyszłym roku dojdzie do zawieszenia walk na ukraińskim froncie, to zacznie on też z urzędu kreować przyszłość polskiej polityki wschodniej. Wtedy okaże się, czy państwo polskie będzie pełnić jedynie funkcję żandarmerii wojskowej NATO, czy stanie się podmiotem europejskiej polityki wobec Ukrainy i Rosji.

Przyszłość takiej polityki jest nieznana, bo wszyscy kandydaci unikają tego tematu. Co gorsza, kandydat Nawrocki, znany w Rosji burzyciel radzieckich pomników i cmentarzy, przoduje tam w rankingach rusofobów. W Ukrainie też lubiany nie jest.

Brak problematyki międzynarodowej w prezydenckich debatach źle prognozuje polskiej pozycji na Wschodzie. Znów może się okazać, że Niemcy, Francja, USA dogadają się z Rosją. A polski prezydent będzie otwierał kolejną zaporę na wschodniej granicy. Ku naszej świetlanej przyszłości.

PIOTR GADZINOWSKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Na warszawskiej Pradze niczym relikt komunistycznej przeszłości ostała się stacja benzynowa w pomarańczowych barwach CPN-u. Tankując tam, można poczuć się jak w PRL, tylko ceny już nie te. Łza się w oku kręci, a w portfelu pustka. Aż chce się westchnąć: *Ach, te czasy, kiedy benzyna była tańsza od octu!* Jest to oczywiście podejście jednostronne. Samochody były wówczas tak drogie jak dzisiaj mieszkania.

▮ Urzędy skarbowe niczym twierdze nie do zdobycia ukryły numery telefonów swoich urzędników. Teraz, żeby dodzwonić się do właściwej osoby, trzeba przejść przez piekło infolinii, automatów i muzyczki. A wszystko po to, żeby chronić skarbowców przed durnymi telefonami. Moje rozwiązanie? Proste i skuteczne: 7 zł za minutę rozmowy. Chcesz gadać, płać! A przy okazji budżet się zasili. Dwie pieczenie przy jednym ogniu. A urzędnicy wreszcie będą mieli spokój i podwyżki.

▮ Ho, ho, ho! Święty Mikołaj w tym roku wyjątkowo był szczodry dla Dominiki Kulczyk. Bank Gospodarstwa Krajowego jak elf z workiem prezentów sypnął 750 mln zł na budowę morskich farm wiatrowych. A że akurat te farmy budowane będą przez firmę Polenergia należącą do najbogatszej Polki? Zbieg okoliczności zapewne. W końcu wiatraki same się nie zbudują, prawda? Trzeba komuś dać zarobić. A kto lepiej nadaje się do tego zadania niż ktoś, kto już i tak ma więcej pieniędzy, niż mógłby wydać? Palikot nadal siedzi za głupie 70 baniek, a BGK nic mu nie chciał pożyczyć. Co za jebana w dupę niesprawiedliwość.

▮ 6 mln choinek poległo w boju o świąteczny nastrój. Topory i piły spisały się na medal, zamieniając zielone drzewa w świąteczny opał. Bóg się rodził, moc truchlała, a choinki umierały. Taka to świąteczna tradycja – najpierw wycinamy drzewo, potem je ubieramy, a na koniec wyrzucamy na śmietnik. Niemiecki wynalazek. Boskie szaleństwo.

▮ Warszawski Farum (Fabryka Aparatury Rentgenowskiej i Urządzeń Medycznych), firma z tradycjami dłuższymi niż niektóre państwa, która przetrwała zabory, wojny, a nawet PRL, w końcu poległa. I to nie w walce z konkurencją, a z własnym państwem. Farum, zamiast świętować 200-lecie istnienia, wyprzedaje magazyny i likwiduje się. Zdaniem wtajemniczonych fabryka przegrała olimpiadę przedsiębiorczości, którą wymyśliły minione rządy ludzi Kaczyńskiego, włączając dla wszystkich zielone światło. Ze wszystkich stron skrzyżowania. Wygrali spiskujący producenci chińskiego sprzętu medycznego.

▮ 11 mln karpi zginęło śmiercią tragiczną, by Polacy mogli świętować minione Boże Narodzenie. Masakra, że nawet Herod by się wzruszył. 11 mln! To prawie jak ludność Belgii, tylko że w łuskach. Można by z nich ułożyć karpiowy most przez Wisłę albo zbudować karpiową piramidę wyższą od Cheopsa. A wszystko w imieniu tradycji. Następnym razem, gdy będziesz zajadać się świątecznym karpiem, pomyśl o tej masowej zagładzie. Może zamiast ryby wybierz seler albo spróbuj tofu? Smak podobny, a sumienie czyste.

▮ W Tarnowskich Górach rozpętało się psie piekło. Agresywny zwierz zaatakował dwóch miejscowych, wysyłając ich prosto do szpitala. Na miejsce zdarzenia przybył weterynarz, który jednak okazał się niezbyt skuteczny w swoim fachu. Futrzany terminator zignorował wszystkie próby schwytania i ruszył na policjantów. Ci zaś, nie mając wyjścia, sięgnęli po broń służbową, kładąc kres psiej furii. Zastrzelili go jak psa.

▮ Cudowne dziecko zostało zatrzymane przez stołecznych funkcjonariuszy z Pragi Północ. 13-letnia dziewczynka, prawdziwy talent biznesowy, z zimną krwią oszukała 73-letnią kobietę, wyłudzając od niej 18 tys. zł. Metoda „na policjanta" w jej wykonaniu to prawdziwe arcydzieło. Niczym wytrawna aktorka odegrała rolę sekretarki komendanta posterunku, przekonała seniorkę do przekazania pieniędzy, a potem zniknęła niczym kamfora. Kiedy kamforę odnaleziono, okazało się, że kilka miesięcy wcześniej była już raz zatrzymana w Białymstoku za takie samo oszustwo.

Rys. OBYWATEL JANEK

▮ W Małopolsce, a szczególnie w Krakowie, HIV szaleje niczym pożar w burdelu. Co gorsza, ofiarami padają nie tylko młodzi, ale i seniorzy po sześćdziesiątce, którzy wcześniej zażywali turystyki sanatoryjnej. Jak przyznaje Elżbieta Kois-Żurek, dyrektorka Wydziału Polityki Społecznej i Zdrowia krakowskiego magistratu, sanatoria to istne wylęgarnie wirusa. Można by rzec: „pojedziesz do sanatorium, wrócisz z HIV-em".

▮ Rząd, zaniepokojony dwoma przypadkami postrzelenia z broni czarnoprochowej trzech policjantów (dwóch zmarło), postanowił coś z tym zrobić. Powołano więc zespół ekspertów, który ma opracować nowe przepisy dotyczące dostępu do tego typu broni, która obecnie nie wymaga żadnych zezwoleń. Eksperci przeanalizowali obowiązujące przepisy i porównali je z rozwiązaniami w innych krajach. W każdym razie samobójstwo w elegancki i cywilizowany sposób popełniać się będzie dużo trudniej. Bo do samobójstw czarnoprochowce służą przede wszystkim.

▮ Centralne Biuro Antykorupcyjne, które za pół roku ma zostać zlikwidowane, właśnie szykuje się na wielkie zakupy. 3 tys. smartfonów za 10 mln zł. Ot, taka mała rozpusta za publiczne pieniądze. W końcu trzeba się rozerwać, zanim służba przestanie istnieć. A że smartfonów jest dwa razy więcej niż funkcjonariuszy? Szczegół. Ważne, żeby każdy miał po dwa, jeden do dzwonienia, drugi do grania w Angry Birds. Żeby tylko przetarg nie był ustawiony, bo nie będzie miał kto tej korupcji wykryć.

▮ Mlekovita, krajowy potentat w dojeniu krów, postanowiła walczyć z wołowymi pierdami. Wpro-

eprasa.pl 71af296b8a

Bizancjum 2.0

Wybierając prezydenta, zastanów się, czy będzie pasował do przynależnych mu rezydencji.

Andrzej Duda doszedł do wniosku, że po nim choćby potop i parę miesięcy temu wpadł na pomysł, że zrobi niefajnie swojemu następcy. W jego kancelarii zapadła decyzja o remoncie prezydenckich rezydencji. Według kwitów przetargowych na koszt *robót remontowych i zamierzeń inwestycyjnych* zaplanowano 25 mln zł. Kolejna głowa państwa przez co najmniej kilka pierwszych miesięcy prezydentowania będzie więc musiała współdzielić prywatną przestrzeń z ekipami remontowymi.

Hydraulikiem w następcę

Ponad 16 mln zł idzie na odnowienie rezydencji w stolicy i o rzut śmigłowcem od niej. Lifting zaliczą: Pałac Prezydencki, Belweder, rezydencja w Klarysewie i ukochany przez Dudę Promnik w Rudzie Tarnowskiej. Znaczy skryta w lesie willa z basenem, siłownią, kortem tenisowym i lądowiskiem dla helikopterów.

Nowy prezydent nieszczególnie pojeździ sobie na nartach w ramach pomieszkiwania w Rezydencji Prezydenta RP Zamek w Wiśle – Narodowym Zespole Zabytkowym. Za 4 mln 650 tys. zł roboty trochę będzie i szybko się to nie skończy.

Co prawda Duda przed trzema laty na nowo umeblował Rezydencję Prezydenta RP na Mierzei Helskiej – Hel, ale pewnie robotników ustawiających nowoczesne szezlongi i pikowane ławki za drobne 16,6 tys. zł nie dostrzegł. Za to jego następca próbujący się wczasować w nadmorskiej rezydencji do połowy 2026 r. będzie miał problemy, bo do tej pory obowiązuje umowa na prace remontowe mające kosztować ponad 4 mln 600 tys. zł.

Żeby nie było, że Duda funduje swojemu następcy bezdomność – zostawia mu do dyspozycji Dworek Prezydenta RP – Ośrodek Informacyjno-Edukacyjny – Ciechocinek. Do niedawna żaden prezydent tam nie pomieszkiwał, bo było to muzeum poświęcone prezydentom RP. Teraz funkcja muzealna sprowadza się do zwiedzania ośrodka w nieturystyczne dni powszednie, z przewodnikiem i po sprawdzeniu, czy się czegoś wybuchowego nie ma ze sobą. A to dlatego, że Andrzej Duda zażyczył sobie kilka lat temu wielkiego remontu, od ukończenia którego 2 maja 2023 r. prezydencka posiadłość w Ciechocinku – jak widnieje na stronie ośrodka – *pełni przede wszystkim funkcję rezydencji wypoczynkowej dla prezydenta i jego gości. Jest to miejsce, gdzie głowa państwa może odpocząć w spokojnym otoczeniu uzdrowiska, z dala od zgiełku wielkich miast. Otoczenie parku i bliskość tężni solankowych sprzyjają relaksowi i regeneracji sił*. Jak twierdzą miejscowi, prezydenta tam się nie widuje, ale jego gości – jak najbardziej. Szczególnie w weekendy.

Nowy prezydent będzie się tam regenerował raczej bezstresowo, bo na najbliższe miesiące zaplanowano w Ciechocinku prace, które mają polegać na *świadczeniu usługi interwencji awaryjnych wraz z naprawami oraz wykonywaniu przeglądów konserwacyjnych dźwigów osobowych, osobowo-towarowych, kuchennych, mechanizmów windowania żyrandoli, platform dla osób z niepełnosprawnościami*.

Rezydencje oficjalne

Czy można się przyczepić do prezydenta, który nad Bałtykiem ma chałupę, gdzie, gdy trzeba, można podejmować prezydenta USA albo kanclerza Niemiec, jak to drzewiej bywało? No jasne, że nie można.

Rys. WIDGET

Czy szef sporego państwa należącego do Unii Europejskiej nie powinien mieć w takiej reprezentacyjnej rezydencji sali konferencyjnej z łączami satelitarnymi, wieży widokowej z kominkiem i tarasem, kortów tenisowych i własnej plaży? Powinien.

Tak samo nic złego nie da się powiedzieć o Zameczku w Wiśle. Nasi prezydenci podejmowali i tam głowy państw. Komorowski robił stamtąd wypady na stok narciarski, wciąż aktualny narciarz – też. Poza tym obiekt idealnie nadaje się do robienia dobrej miny. Dlatego rezydencja *została na polecenie prezydenta Andrzeja Dudy udostępniona między październikiem a listopadem na potrzeby dzieci i młodzieży szkolnej z terenów objętych powodzią*. Zaoferowano kilkudniowe bezpłatne pobyty z wyżywieniem grup liczących do 55 osób. Wcześniej Zameczek ogrywano w taki sposób, rozdmuchując niusy o przyjmowaniu tam dzieci z domów dziecka w Ukrainie.

Żeby ostatecznie wybić oręż z ręki nienawistnikom twierdzącym, że państwo powinno być tanie i oszczędne, prezydent zaś ma żyć w ubóstwie, należy się informacja, że panaprezydencka rezydencja jest hotelem. W związku z tym zarabia kasę. I jak ktoś ma życzenie, to może sobie wynająć dwójkę ze śniadaniem za ponad 300 zł. A właściwie to chyba miał, bo strona hotelu prezydenckiego nie działa, więc może remonty już ruszyły.

Ciechocinek, Jurata i Wisła bez remontów kosztują podatnika łącznie niecałe 10 mln zł rocznie. Dzięki tym pieniądzom nie musimy obawiać się obciachu przy podejmowaniu ważnych gości, kilkadziesiąt osób ma stałą pracę, a gawiedź nawiedzająca ciechociński deptak może podreptać po pokojach pamiętających Mościckiego.

Dla Kancelarii Prezydenta – jak widać na oficjalnej stronie internetowej – te trzy miejscówki to wszystkie pozawarszawskie rezydencje głowy państwa polskiego.

Ośrodki tajne łamane przez poufne

Zanim Andrzej Duda nastał w Pałacu Namiestnikowskim, Kancelarii Prezydenta RP podlegało nieco więcej dóbr. Był zatem ośrodek w Lucieniu koło Płocka. W nadjeziornych okolicznościach przyrody Lech Kaczyński, gdy był prezydentem, organizował spotkania z osobami zwanymi intelektualistami. Komorowski widać tak towarzyski nie był, bo rezydencję oddał Lasom Państwowym. Te zaś przekazały Lucień Centralnemu Biuru Antykorupcyjnemu. I teraz ośrodek działa pod przykryciem. Bo oficjalnie odbywają się w nim szkolenia agentów. Nieoficjalnie zaś to, co się pod pojęciem szkolenie kryło od zawsze. Znaczy trenowanie odporności agentów i funkcjonariuszy na działanie alkoholu etylowego, a parę lat temu nawet – planowanie inwigilowania polityków Pegasusem.

Bronisław Komorowski jako głowa państwa mógł również korzystać z czegoś, co zostało zdjęte z internetowej ewidencji Kancelarii Prezydenta – z willi w Klarysewie, w podwarszawskim Konstancinie-Jeziornie. Niegdyś zajmowanej przez Edwarda Gierka, a potem znanej z benedyktyńskiej pracy, którą wykonywał w tych murach Jarosław Kaczyński, pisząc program PiS. Za skorzystanie z rezydencji wpłacił na konto swego brata prezydenta całe 35 tys. zł. To samo, ale za więcej – bo za 45 tys. zł – chciał zrobić Janusz Palikot. Jednak kancelaria Lecha Kaczyńskiego stanowczo mu to uniemożliwiła.

W roku 2011 Bronisław Komorowski skonstatował, że w Klarysewie nie bywa, nie ma więc sensu dokładać do willi pół dużej bańki rocznie. Zapadła decyzja o sprzedaży. Tak się przynajmniej wydawało mediom. Jednak nic z tych rzeczy. Komorowski przy Klarysewie trwał do swojego końca. A nawet dłużej. W październiku 2015 r. Andrzej Dera, sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta Andrzeja Dudy, oznajmił, że otrzymana od urzędników prezydenta Komorowskiego dokumentacja dotycząca willi w Klarysewie jest *skandaliczna*, a sprawa powinna zostać wyjaśniona przez prokuraturę. Prokuratura zaczęła zatem badać, czy *doszło do przywłaszczenia części mienia*. Znaczy zajumania wszystkiego, co się dało zajumać, bo wszak prezydencka minister Małgorzata Sadurska stwierdziła, że w Klarysewie zastała gołe ściany.

Śledztwo trwało niemal cztery lata. Zarzuty dostało siedmiu pracowników kancelarii Komorowskiego. Potem sprawy przez kolejne cztery lata się wokandowały. W Sądzie Okręgowym oskarżeni zostali ze wszystkich zarzutów uniewinnieni. Gołe ściany były spowodowane tym, że urzędnicy gajowego – jak uznał sąd – *działali w granicach prawa i zgodnie z procedurami*.

Za prezydentury Dudy Klarysew został dopieszczony fachowcami i kilkunastoma milionami złotych i dziś robi za miejsce w pełni reprezentacyjne.

W spadku po poprzedniku Andrzej Duda dostał też położony w środku lasu nad Wilgą ośrodek Promnik w Rudzie Tarnowskiej. Otoczony ogrodzeniem i budkami strażniczymi, wyposażony w lądowisko dla śmigłowca, halę z basenem o gabarytach 12,5 x 6 m i jacuzzi, salę fitness, siłownię z full wypasem, saunę oraz kort tenisowy. Helikopterem dolatuje się tam z Pałacu Namiestnikowskiego w kwadrans. Najlepiej wiedział o tym Kwaśniewski, za którego czasów śmigłowiec kursował tam niemal co tydzień. I to zarówno z rodziną prezydenta, jak i familiami jego najbliższych współpracowników.

Rezydencji w Rudzie Tarnowskiej nie planował się pozbyć facet, który na weekendy jeździł do swoich prywatnych włości w Budzie Ruskiej. Duda ośrodek ukochał niczym Kwach. Jego kanceliści – również.

Niepoliczalni

Prezydenccy urzędnicy to – równa niemal nieistniejącym ośrodkom – kolejna wielka zagadka Andrzeja Dudy.

NIK informowała, że przeciętne zatrudnienie w Kancelarii Prezydenta wynosiło w 2022 r. 419 osób – znaczy o cztery osoby więcej niż rok wcześniej. Według tejże samej NIK w pierwszym pełnym roku prezydentury Andrzeja Dudy w kancelarii pracowały 372 osoby – czyli o siedem osób mniej niż w 2015 r. Potem liczba urzędników prezydenta się zwiększała, zwykle o kilka osób. Zatrudnienie wzrosło najbardziej między 2017 a 2018 r. – o 19 osób. Łącznie za prezydentury Dudy, czyli między 2016 a 2022 r., w Kancelarii Prezydenta przybyło ok. 50 zatrudnionych.

Szef kancelarii Komorowskiego mówił zaś, że po 10 kwietnia 2010 r. zastał w kancelarii 360 osób. Czyli o 80 więcej, niż gdy fuchę prezydenta opuszczał Kwaśniewski. Wychodziłoby na to, że Komorowski ubogacił liczbę posad prezydenckich o 19.

Kiedy po wyborach wygranych przez obecnie rządzących głosowano budżet, kanceliści Dudy broniąc wymyślonych przez siebie kwot, pisali, że *planowane zatrudnienie pracowników – określony limit 365 etatów – nie wzrasta na 2024 r*. Liczba 365 kancelistów od roku przewija się we wszystkich enuncjacjach Pałacu Prezydenckiego. To do niej odnosi się również aktualna prezydencka chęć powiększenia pogłowia kancelistów o 10 sztuk. Znaczy do liczby 375. Liczby niższej od tej, którą Duda odziedziczył po Komorowskim, a która według kontrolerów Banasia już dawno przekroczyła 420 etatów.

Mimo całego szacunku do urzędników prezydenta wiarygodniejszy jest jednak Banaś. Zwłaszcza że jego wyliczenia nieistniejących wedle Dudy urzędników jakoś fajnie korespondują z równie nieistniejącymi rezydencjami prezydenta.

Najsmutniejsze w tym wszystkim jest jednak to, że niemający szczególnych prerogatyw do rządzenia prezydent wraz ze swoim dworem naciągną rodaków w 2025 r. na ponad 312 mln zł. To ponad dwa razy więcej, niż ma iść na Polską Akademię Nauk. I ktokolwiek będzie na fuchę głowy państwa wybrany, na takie marnowanie kasy na pewno nie zasługuje.

TADEUSZ JASIŃSKI

wadza więc Bovaer, dodatek paszowy, który ma zmniejszyć emisję metanu. Koniec z wonią obornika! Teraz krowy będą pierdzieć ekologicznie i pachnieć konwaliami. Aż chce się zaśpiewać: „Wesołe krowy, bezemisyjne pierdy, zielona trawa i czyste powietrze". Oby tylko mleko nie zaczęło smakować jak Bovaer, który w 60 proc. wykonany jest z dwutlenku krzemu, czyli piasku. Może zgrzytać między zębami.

▮ Na Krupówkach pojawił się Mikołaj, który zamiast rozdawać prezenty, wyłudza pieniądze. Pijany i bezczelny żąda od turystów 20 euro za samo przebywanie dziecka w jego pobliżu. Lokalni przedsiębiorcy jak Karol Wagner z Tatrzańskiej Izby Gospodarczej załamują ręce nad szkodą dla wizerunku Zakopanego. Można by rzec: „zamiast prezentów Mikołaj przynosi wstyd". A może to wszystko zaplanowana akcja marketingowa, żeby przyciągnąć turystów? W końcu nie ma to jak zła prasa. Zwłaszcza że o dobrą w stolicy Tatr bardzo trudno.

▮ Gdynia, miasto innowacji i oszczędności, wymienia żarówki na ul. Świętojańskiej i Pl. Kaszubskim. Aż 400 sztuk! Koszt inwestycji? Bagatela, tylko 695 tys. zł. Ale spokojnie, to się zwróci! Już za trzy lata! Roczne oszczędności to 200 tys. zł. Rachunek jest prosty: 200 tys. zł razy trzy lata równa się 600 tys. zł. Gdzie te brakujące 95 tysi? A któż to wie? Pewnie poszły na kawę dla zespołu projektowego. W końcu myślenie o oszczędnościach jest pracą ciężką i wymagającą poważnych wydatków.

RJ

PS Informacje pochodzą z mediów lokalnych i portali, które chcą udawać miejskie i stołeczne, ale czy są prawdziwe? Tego nie wiemy. I szczerze mówiąc, nie chce nam się sprawdzać. Byłoby to zbyt nieodpowiedzialne. Odradzamy tę weryfikację również Czytelnikom.

eprasa.pl 71af296b8a

Nierówność nierówności nierówna

Świat wcale nie staje się lepszy

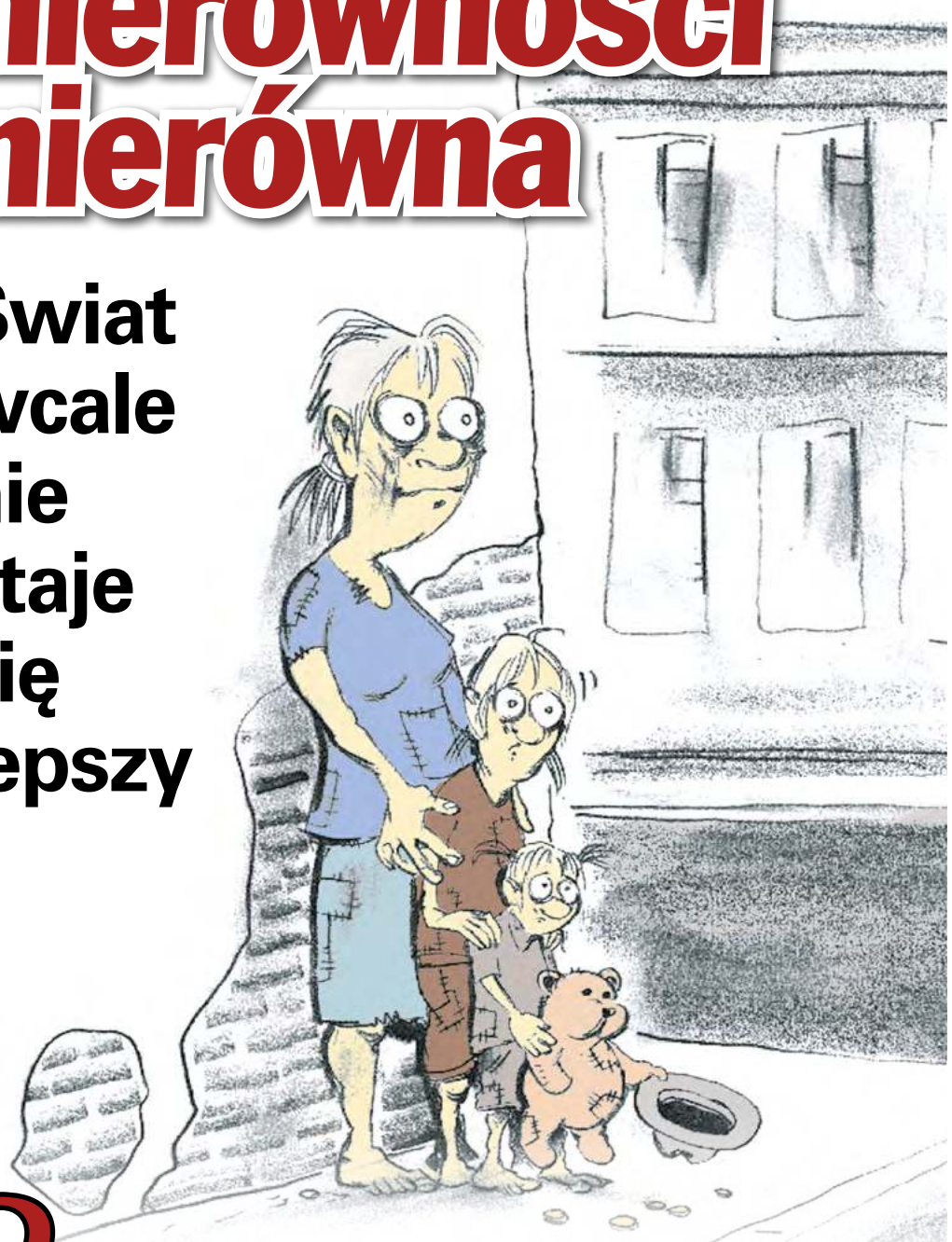

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Rok 2024 był – niespodzianka – kolejnym rokiem pogłębiania nierówności. Obecnie Bank Światowy ustala granicę skrajnego ubóstwa na 2 dolary i 15 centów – czyli koło 9 zł – dziennie. Za tyle – lub mniej – żyło w 2024 r. 692 mln ludzi.

Gdyby przyjąć ustalenia BŚ, wyszłoby na to, że w Polsce nie ma ludzi ubogich. Oczywiście większość z nas ma miesięczne dochody powyżej 270 zł, co jeszcze nie oznacza, że naszym ubogim powodzi się znakomicie.

Dolar bowiem dolarowi nierówny. W związku z tym przeliczanie dochodów na dolary w samym założeniu jest ułomne, gdyż nie uwzględnia realnej siły nabywczej amerykańskiej waluty. Ludzie z mojego pokolenia pamiętają, że w latach 70. czarnorynkowy – a więc realny – kurs dolara był na poziomie 100 zł. 2,15 dolara dziennie oznaczałoby zatem ponad 6,5 tys. zł miesięcznie. Astronomiczne zarobki.

Przy całej ułomności systemu opartego na przeliczniku dolarowym Bank Światowy jest w stanie jakoś tam ocenić poziom ubóstwa w poszczególnych krajach. Mimo iż dane te pochodzą z różnych – czasem znacznie odległych – lat, dają jakąś skalę porównawczą.

I tak najwyższy poziom ubóstwa – 98 proc. populacji – odnotowano w Demokratycznej Republice Konga. Natomiast w kilku europejskich krajach – m.in. w Belgii, Czechach, Słowenii i na Cyprze – oszacowano go na 0 proc. Tuż za nimi umieszczono Polskę, oceniając, że biednych jest u nas tylko 1 proc., tj. na poziomie Niemiec. To i tak lepiej niż w Stanach Zjednoczonych, gdzie wskaźnik ten jest dwukrotnie wyższy. Analiza z 2002 r. wykazała, że w skali całego świata biednych miało być 45 proc. Jednak niektóre dane są na tyle przestarzałe, że nie odzwierciedlają obecnego stanu ubóstwa. Przykładowo Bank Światowy wycenił ten poziom na terenie Zachodniego Brzegu i Strefy Gazy na 21 proc., ale w 2016 r., a więc przed izraelskimi atakami.

Bieda niejedną ma twarz

Dzienny dochód nie jest jedynym miernikiem biedy czy ubóstwa. Według rządu kanadyjskiej prowincji Nowy Brunszwik bieda oznacza brak dostatecznej ilości środków na zaspokojenie podstawowych potrzeb, takich jak pożywienie, ubranie i dach nad głową. Bank Światowy dodaje do tego jeszcze brak możliwości korzystania z opieki lekarskiej i uczęszczania do szkoły i bezrobocie. Wiąże się z tym strach o jutro, co z kolei powoduje, że ludzie chcą uciekać z biednych, pozbawionych nadziei i perspektyw rejonów świata do tych państw, gdzie bieda nie jest zjawiskiem powszechnym. I o tym powinni pamiętać rządzący przeciwnicy emigracji oraz przyklaskujący im wyborcy.

Łatwo dostrzec, że z tak zdefiniowaną biedą mają do czynienia liczni mieszkańcy naszego kraju – mimo tego, że ich nominalne dochody są wyższe niż parę dolarów dziennie. Dotyczy to wielu emerytów i rencistów, którzy muszą wybierać między zakupem bułki i lekarstw. Są oni w znacznie gorszej sytuacji niż ludzie młodsi, którym zdrowie i siły pozwalają na to, aby sobie dorobić, z czego korzysta może niewidzialna, ale za to odczuwalna ręka rynku, zatrudniając na czarno lub na umowy śmieciowe. Zarobek z szarej strefy pozwala wprawdzie na bieżące przeżycie, lecz na starość odbija się na wysokości emerytury. I tu kółko się zamyka. Dodatkowo wiele osób jest eksmitowanych z mieszkań, ponieważ nie stać ich na zapłacenie czynszu, zwłaszcza w domach przejętych przez pazernych i bezwzględnych neowłaścicieli.

Bezdomność polityczna i medialna

Bezdomność jest poważnym problemem społecznym starannie omijanym przez media. O ile specjalizują się one w epatowaniu odbiorców makabrycznymi opowieściami o morderstwach, atakach nożowników, wypadkach drogowych, zwłaszcza śmiertelnych czy o klęskach żywiołowych, o tyle bezdomni są poza sferą ich zainteresowania, nawet gdy umierają na ulicy.

Bezdomnymi nie interesują się też politycy indywidualnie ani ich partie zbiorowo. Po co sobie zaprzątać głowę ludźmi, którzy i tak nie będą na nas głosować? Nikt nie wnika w to, jakie są przyczyny bezdomności, kogo ona dotyczy i dlaczego osoby w kryzysie bezdomności nie otrzymują należytego wsparcia z budżetu wydającego za to hojnie miliardy na zbrojenia.

Warto zauważyć, że bezdomność dotyczy nie tylko krajów biednych czy nie do końca bogatych. Przed laty, podczas pobytu w Brukseli, codziennie widywałem bezdomnego koczującego przy wejściu do stacji metra blisko siedziby Komisji Europejskiej. Był on niezauważalny ani dla unijnych urzędników, ani dla eurodeputowanych, którzy wszak nie poruszają się metrem, tylko luksusowymi autami.

Aby wegetować w urągających przyzwoitości warunkach, niekoniecznie trzeba być bezdomnym. Wystarczy zamieszkiwać w slumsach. Osobiście widziałem slumsy w trzech miastach. Najgorsze były w Stambule. Nieco lepsze, choć niewiele, w Bukareszcie. Bardziej przyzwoite w stolicy Mozambiku – Maputo. Różniły się one od tych poprzednich tym, że ich mieszkańcy starali się jakoś sobie radzić. Na ulicy wystawiali stoiska z odzieżą oraz stragany z bananami. Za to w Brukseli widziałem sporo ludzi żebrzących na ulicach.

Kto się bogaci, kto biednieje

Nierówność zawsze była i będzie. Problem polega na tym, czy się ona zmniejsza, czy zwiększa. Według danych ONZ w ubiegłym roku na świecie liczba głodujących wzrosła w porównaniu z rokiem poprzednim o 24 mln – do niemal 300 mln. Dla porównania, według Cenzusu Miliarderów 2024 sporządzonego przez analizującą bogactwo firmę Altrata, populacja miliarderów wzrosła w zeszłym roku o 4 proc. – do 3323 osób. Łączna wartość ich majątków jest obecnie wyceniana na 12 bln dolarów.

Zajmująca się badaniami nad nierównościami organizacja Oxfam, zrzeszająca przedstawicieli ponad 90 krajów, opublikowała raport, z którego wynika, że w rejonie określanym jako Globalna Północ koncentruje się 69 proc. światowego bogactwa i tam też znajduje się 74 proc. miliarderów. W posiadaniu jednego procenta akcjonariuszy znajduje się 43 proc. światowego kapitału. W latach 2022–2023 148 największych światowych korporacji osiągnęło zysk rzędu 1,8 bln dolarów. Natomiast do biedniejszej połowy naszego globu w roku 2022 trafiło jedynie 8,5 proc. światowego dochodu. Jak wyliczyli specjaliści z Oxfam, osoby zatrudnione w służbie zdrowia i pomocy socjalnej potrzebowałyby 1200 lat, aby doszlusować do dzisiejszych rocznych dochodów kadry zarządzającej 100 największych korporacji. Nie będę stresował czytelników pozostałymi danymi raportu Oxfam. Kto ma zdrowe serce i mocne nerwy, może samemu ten raport przeczytać.

Tymczasem, jak wynika z szacunków Oxfam, gdyby dochody najbogatszych objąć podatkiem na poziomie 5 proc., dałoby to rocznie 1,7 bln dolarów, co pozwoliłoby na wyciągnięcie 2 mld ludzi ze stanu biedy.

Nowa rewolucja francuska

Francuski ekonomista Gabriel Zucman proponuje wprowadzenie rocznego podatku w wysokości 2 proc. od majątku – a nie od dochodów – miliarderów. Ma to o tyle sens, że starają się oni na różne sposoby unikać opodatkowania, zakładając firmy w tzw. rajach podatkowych (jak Kajmany czy Panama) oraz stosując szereg innych *optymalizacji podatkowych*. Ideę globalnego opodatkowania krezusów promuje brazylijski prezydent. Podczas inauguracji szczytu G20 w Brazylii

Luiz Inácio Lula da Silva wezwał do współpracy na rzecz tego, aby w sposób skuteczny opodatkować najbogatszych. Dodał też, że głód i ubóstwo są efektem decyzji politycznych, a nie wynikiem niedostatku dóbr czy zjawisk naturalnych.

Grupa G20 składa się, jak sama nazwa wskazuje, tylko z 20 podmiotów, z których 19 to największe potęgi pod względem potencjału ekonomicznego, reprezentujące 85 proc. globalnego PKB. I to właśnie tam, jak łatwo się domyślić, znajdziemy najbogatszych mieszkańców naszego globu.

G20 nie ma możliwości podejmowania decyzji w skali globalnej, może jednak wypracować wspólne stanowisko.

Może, ale nie musi. Różnice zdań – nie tylko w kwestii podatkowej, lecz także choćby wojny na Ukrainie – są na tyle znaczne, że w praktyce uniemożliwiają przyjęcie jednolitej platformy działania. Dlatego też w komunikacie końcowym szczytu wspomina się jedynie o *rozpoczęciu dialogu* na temat wprowadzenia uczciwego progresywnego opodatkowania ludzi o najwyższych dochodach i tworzenia nowych funduszy mających na celu redukcję ubóstwa i głodu. Przeciw totalnemu opodatkowaniu bogaczy są przede wszystkim Stany Zjednoczone. Komentując propozycję Zucmana, szefowa amerykańskiego resortu finansów Janet Yellen, stwierdziła wprost, że pod takim projektem USA nie mogą się podpisać.

Nierówności globalne

Z najnowszego raportu Banku Światowego wynika, że 26 najbiedniejszych krajów świata jest jeszcze biedniejszych niż przed epidemią COVID-19. Dodatkowo kraje te są mocno zadłużone – na poziomie 72 proc. całości dochodów. BŚ zwraca też uwagę na to, że najbiedniejsze państwa w wyniku klęsk żywiołowych tracą finansowo pięciokrotnie więcej niż kraje o średnich dochodach, co jeszcze bardziej pogłębia globalne nierówności.

Nierówności dokładnie widać w porównaniu poszczególnych krajów. Jak wynika z aktualnych szacunków Banku Światowego obejmujących 190 państw, poziom PKB na jednego mieszkańca według parytetu siły nabywczej waha się od 455 dolarów w Sudanie Południowym do 143 743 dolarów w Luksemburgu. Przy czym z 10 najbiedniejszych krajów dziewięć jest w Afryce. Dopiero na 10. miejscu znalazł zniszczony przez wojnę Jemen. Polska, której PKB na łeb wyliczono na 49 060 dol., znalazła się w tym zestawieniu na 148. miejscu pod względem biedy, czyli na 42., jeśli chodzi o bogactwo. Pomiędzy Czechami (50 475 dol.) i Portugalią (47 070 dol.).

Poziom PKB, choć daje pewną orientację co do poziomu gospodarczego danego państwa, trudno jest uznać za najbardziej miarodajny. A to dlatego, że wlicza się doń nie tylko wyprodukowaną wartość materialną, lecz również usługi. Skoro tak, to – jak wykazał jeden z czeskich ekonomistów – im więcej wypadków drogowych, tym wyższy PKB pompowany przez usługi wykonywane w warsztatach naprawczych. Jako że jednak żyjemy w niedoskonałym świecie, to zrozumiałe jest, że posługujemy się niedoskonałymi wskaźnikami.

Nobel dla dyletantów

Tegoroczną Nagrodę Nobla w dziedzinie ekonomii otrzymało trzech Amerykanów: Daron Acemoglu (Ormianin tureckiego pochodzenia), Simon Johnson i James A. Robinson. Zostali oni wyróżnieni za wydaną w 2012 r. książkę zatytułowaną „Dlaczego kraje doznają niepowodzeń: źródła władzy, dobrobytu i biedy".

Co prawda przyznający Nobla uczeni ze Szwedzkiej Królewskiej Akademii Nauk nie są kierowcami rajdowymi i nie muszą wykazywać się refleksem, jednakże zwlekanie z nobilitacją przez 22 lata to chyba jednak, delikatnie mówiąc, pewna przesada.

Autorzy twierdzą, iż przyczyna bogactwa tkwi wyłącznie w demokratycznych strukturach państwa, gdzie maksymalnie szerokie warstwy społeczne zaangażowane są w życie polityczne i ekonomiczne. Dzięki temu mogą sprawować władzę poprzez mobilizowanie i zagrażanie elicie rządzącej, w związku z czym jedyną alternatywą dla elity jest przekazanie władzy decyzyjnej społeczeństwu. Na podstawie tych enuncjacji można wysnuć wniosek, że autorzy najpierw postawili sobie tezę, a później starają się ją na siłę udowodnić. Pomijają wszystkie inne czynniki, jak choćby bogactwa naturalne. Niektóre państwa zawdzięczają bogactwo zasobom ropy naftowej i gazu ziemnego. Rządząca elita w bogatej Arabii Saudyjskiej nie ma najmniejszego zamiaru przekazania władzy decyzyjnej społeczeństwu, czego dowodem jest brak nawet namiastki instytucji parlamentarnych.

Amerykańscy uczeni o tym nie piszą, zajmują się za to Chinami – dostrzegają co prawda ich bogacenie, lecz przepowiadają, że *jeżeli nie poprawią swojej politycznej równowagi*, to mogą spodziewać się upadku, tak jak to miało miejsce w Związku Radzieckim.

Jednak wydaje się, że ich futurologia jest na takim samym poziomie jak ich analiza obecnej rzeczywistości.

BŁAŻEJ KAJETAŃCZYK

Wojna św

Zanim przylecą kosmici i zrobią porządek

Czarno widzę, przyjacielu, oj, czarno! Porąbane to życie. Porąbany świat. Rąbnięty i pęknięty, a może nawet już całkiem rozłupany. Człowiek sobie tu cichutko siedzi i dzierga swoje malutkie życie, ale kiedy rozejrzy się dookoła, to widzi zbliżającą się katastrofę – zderzenie światów. Nie trzeba daleko patrzeć, wystarczy zerknąć na nasze zapyziałe podwórko.

Ale o co chodzi? Po co komu ta wojna światów? Myślę, że jak zwykle... łupieżczym rębaczom zawsze chodzi o naszą kasę i władzę nad nami maluczkimi – bo taka władza to też dla nich kasa. Oni chcą walczyć ze sobą o nas. Ale przecież nie o nasze dobro!

Stara jestem, więc wiem, że kiedyś byli ludzie gotowi podpalić świat dla nas, aby następny, nawet jeśli ma powstać z popiołów, był lepszy. Wierzyli, że światem powinni rządzić nie ci, których celem są władza i pieniądze, ale ci, którzy chcą pielęgnować rozwój oparty na równości i powszechnym, sprawiedliwym podziale tego, co wytwarzamy rozumem i pracą.

Ale gówno z tego wyszło. Najpierw uznano, że naród jest głupi i potrzebuje silnego, światłego przywództwa, a potem szybko światły przywódca wziął wszystkich za pysk, a to oznaczało koniec marzeń. W efekcie całym światem nadal rządzą (i to wcale nie

eprasa.pl 71af296b8a

SŁOWO CZERWONE

Gdzie się podziała klasa robotnicza?

Zakazane słowa

Rys. HENRYK CEBULA

O jednym politycy nie mówią wcale. Zwykle to, o czym się nie mówi, jest najważniejsze. Nie mówią o nierównościach. A to one sprawiły, że jesteśmy bogatym krajem biednych ludzi. Ci na górze biorą sobie tak dużo, że dla reszty zostają ochłapy.

Biedniejsza połowa Polaków uzyskuje dochody odpowiadające 13 proc. PKB. A przecież ci ludzie naprawdę ciężko pracują. Tyle że dochody z pracy maleją w porównaniu z wciąż rosnącymi dochodami z kapitału. Ci, którzy leżą i pachną, wciąż się bogacą, a ci, którzy zasuwają od świtu do nocy – biednieją.

Właściciel kilku mieszkań nie musi już pracować i żyje dostatnio, podczas gdy budowlaniec, który te domy tworzy, rzadko kiedy jest w stanie dorobić się własnego mieszkania. Ci, którzy odbudowali Muranów czy Starówkę, dostawali mieszkania w domach, które stawiali. Natomiast obecnie jest zupełnie pewne, że budowniczowie miasteczka Wilanów nie mogą nawet pomarzyć, żeby tam zamieszkać.

Krytycy równiejszego rozkładu dochodów twierdzą, że prowadzi on do lenistwa i niskiej wydajności. A jednak w czasach, gdy Unia Europejska była Wspólnotą Węgla i Stali, Polska była w czołówce uprzemysłowionych państw świata. Żeby postawić huty, miliony mieszkań i wyprodukować tyle węgla i stali, trzeba się było wtedy nielicho napracować. Duża część dzisiejszych krezusów uwłaszczyła się na potężnym majątku wypracowanym przez miliony robotników w Polsce Ludowej. Mimo wydziwiania, że „czy się stoi, czy się leży…" w końcu było co kraść i dzisiejsze elity chętnie to rozkradły. Nazwały to prywatyzacją.

Potem już poszło łatwo. Nowobogaccy sponsorowali polityków, którzy uchwalali ustawy dające pole do kradzieży, zwłaszcza do okradania pracowników. Nazywamy to wyzyskiem. Do dziś żądania Unii Europejskiej, aby ten wyzysk nieco zmniejszyć – np. ozusować umowy śmieciowe – spotyka się z twardym oporem polityków wysługujących się pracodawcom, najbogatszej grupie społecznej w Polsce, i mających w głębokiej pogardzie ludzi pracy.

Kolejnym słowem, które zostało wygumkowane z naszej mowy, to słowo robotnik. Z bliżej niewyjaśnionych powodów robotnik jako słowo, jako pojęcie, jako podmiot nie istnieje w naszym kraju. Kiedy ostatni raz przeczytaliście albo usłyszeliście to słowo? Po pierwsze, nie ma robotników, bo są dla władzy, mediów, wszystkich, którzy żyją z ich ciężkiej pracy, całkowicie nieistotni, wręcz niewidzialni. Po drugie, gdyby te pięć milionów robotników fabrycznych przypomniało sobie, że są robotnikami i że jadą na jednym wózku nie z pracodawcą, dla którego wypruwają flaki, tylko z innymi robotnikami, mogłoby się stać zagrożeniem dla obecnego systemu dominacji i wyzysku, który sprawia, że nieustannie biedni biednieją, a bogaci się bogacą.

Robotnikom wmawia się różne rzeczy. Że są klasą średnią na przykład, choć połowa ludzi pracy żyje w niedostatku, nie zarabiając nawet minimum socjalnego. A większość nie ma żadnych oszczędności. Niektórzy są tak zakredytowani, że ich majątek można wyrazić tylko w liczbach ujemnych.

Narodowcy wmawiają robotnikom, że najważniejsze jest to, że są Polakami. Tyle że Polakami są również ci, którzy żyją z wyzysku ich ciężkiej pracy. Taka wspólnota jeźdźca z koniem nie ma żadnego sensu.

Bo interes polskiego robotnika jest o wiele bliższy interesom pracowników przyjezdnych niż pracodawców.

Umowy śmieciowe, zaniżane stawki, niewypłacane wynagrodzenia, lekceważenie przepisów BHP, które wielu kosztuje zdrowie, a nawet życie. Brak prawdziwej inspekcji pracy i związane z tym totalne łamanie praw pracowniczych. Wszystko to przyczynia się do nierówności. A jest możliwe, bo państwo stoi na straży pańszczyzny, czyli tego, aby za dużą część naszej pracy nie trzeba było wcale płacić.

W sejmie, senacie, samorządach nie ma już związkowców, nie mówiąc o zwykłych pracownikach. Są tylko przedstawiciele egoistycznych interesów jaśnie państwa – właścicieli. Od wieków jaśnie państwo żąda większej pańszczyzny i niższych podatków. A państwo polskie, klasa polityczna kłaniają im się w pas.

Każdego roku do Warszawy przybywają demonstranci. Ludzie, którzy chcą wykrzyczeć w stolicy swoje krzywdy. Jedyną reakcją jest zwykle utyskiwanie na spowodowane przemarszem utrudnienia w ruchu samochodowym. Rezultatem jest stos zakurzonych petycji i postulatów w szafie marszałka sejmu.

Gdyby jednak pewnego dnia ktoś namówił pokrzywdzone grupy zawodowe i społeczne do tego, by przybyły wszyscy razem, to nawet nie trzeba by było iść pod sejm czy budynek Rady Ministrów. Bo takie reprezentatywne zgromadzenie obywateli mogłoby się ogłosić konstytuantą. Bo nie ma bardziej wyrazistej formy demokracji, niż kiedy lud oddolnie i bezpośrednio ogłasza nowe porządki.

W naszej najnowszej historii raz już było blisko. Kiedy na wiecach w wielkich zakładach pracy wybierano delegatów na zjazd 10-milionowego ruchu Solidarności. Każdy z tych delegatów miał potężny mandat. I uchwalili program samorządnej Rzeczypospolitej, który doprowadził do stworzenia w zakładach pracy rad pracowniczych. Gdyby tych rad nie zlikwidowano głosami PZPR-owskich aparatczyków z kontraktowego sejmu, nie pozwoliłyby one rozkradać majątku narodowego.

Jednym z powodów buntu społecznego, który doprowadził do utworzenia Solidarności, były przywileje nomenklatury. Robotników oburzała nierówność. Gdy porównamy tamte nierówności i przywileje z dzisiejszymi, zrozumiemy, że powodów do gniewu jest nieskończenie więcej. Tyle że nie ma już tej dumy, tej świadomości własnej potęgi, jaką mieli robotnicy w Polsce Ludowej. Dlaczego? Bo wmówiono im, że już nie są robotnikami. Że klasy robotniczej już nie ma.

PIOTR IKONOWICZ

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Kraj Przywiślański, w którym przyszło nam żyć, czekają zmiany – dotychczasowy gubernator kończy swą misję. 20 stycznia Mark Brzeziński ma wrócić do Waszyngtonu. Ostatnio udzielił on „Gazecie Wyborczej" wywiadu, w którym ujawnił, jak wyglądają kontakty polskiego rządu z przedstawicielami USA: *Minister Błaszczak stał się bardzo ważnym partnerem w rozmowach, które czasem odbywały się kilka razy dziennie. Czasem przyjeżdżał tutaj [do Rezydencji Ambasadora USA na Mokotowie] i siadaliśmy na patio, by przedyskutować ważne sprawy.* Dedykujemy ten cytat wszystkim uważającym, że PiS broni polskiej suwerenności.

☆ Z kolei „Newsweekowi" udzielił wywiadu Jan Piekło: *Bezwarunkowe wsparcie dla Ukrainy zapewniali też obecnie rządzący w naszym kraju politycy, kiedy jeszcze byli w opozycji. Mam jednak wrażenie, że to się zmieniło. Świadczą o tym choćby niedawne słowa wicepremiera i ministra obrony narodowej Władysława Kosiniaka-Kamysza, który zagroził blokadą członkostwa Ukrainy w Unii Europejskiej, dopóki Kijów nie rozliczy się z rzezi wołyńskiej, tzn. nie zezwoli na ekshumacje i upamiętnienie polskich ofiar. W podobnym duchu wypowiadali się również premier Donald Tusk i minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, co trafnie, moim zdaniem, ocenił prezydent Duda jako wpisywanie się w politykę Putina (…). Wysuwanie jednak teraz takich żądań i szantażowanie Ukrainy jest co najmniej moralnym faux pas (…). W przypadku rządu PiS było to jednak pozbawione tego fałszywego tonu, który dostrzegam w PO. Jej liderzy i koalicjanci bowiem z jednej strony publicznie głoszą, że Ukraina powinna jak najszybciej wejść do Unii, a z drugiej stawiają warunek, który jest nie do spełnienia ze względu na trwającą wojnę (…) [gdyż] partyzantów UPA daje się jako wzór walki z Rosją – wówczas komunistyczną, dziś putinowską. Dla przeciętnego Ukraińca są takimi samymi bohaterami jak dla Polaków żołnierze Armii Krajowej. Tymczasem my patrzymy na nich wyłącznie przez pryzmat rzezi wołyńskiej i chcemy, aby wszyscy na czele z dowództwem UPA i Stepanem Banderą (…) zostali potępieni przez Ukrainę.* Takie rzeczy wygaduje były ambasador Polski w Kijowie.

☆ Lwowska Rada Obwodowa zaapelowała do Rady Najwyższej Ukrainy oraz ukraińskiego rządu *w sprawie antyukraińskich projektów ustaw w Sejmie Rzeczypospolitej Polskiej, które dyskredytują OUN i UPA.* W projekcie czytamy: *Podczas gdy Ukraińcy bronią swoich ziem przed moskiewskim agresorem kosztem dużych strat, po drugiej stronie granicy wybucha kolejna fala antyukraińskiej histerii. Polscy politycy uciekają się do manipulacji i powołują się na jednostronne i sfabrykowane fakty, które nie odzwierciedlają prawdziwego obrazu wydarzeń na Wołyniu i Zachodniej Ukrainie w czasie II wojny światowej. Narzucają własny paradygmat historyczny i ideologiczny, który ma na celu zdyskredytowanie prawa Ukraińców do własnego państwa.*

☆ O ukraińskich obyczajach pisze Wirtualna Polska: *Minionej nocy policjanci interweniowali na ulicy 1 Maja w Lublinie po zgłoszeniu dotyczącym pijanego mężczyzny prowadzącego dziecięcy wózek. Po dotarciu na miejsce funkcjonariusze zastali 38-letniego obywatela Ukrainy, który znajdował się w stanie kompletnego upojenia alkoholowego. W wózku, który pchał, znajdowało się 11-miesięczne dziecko. Jak ustalili policjanci, mężczyzna był agresywny i stawiał opór podczas interwencji. Niedługo potem na miejscu pojawiła się jego żona wraz z dwójką starszych dzieci w wieku 11 i 14 lat. Stan kobiety również budził zastrzeżenia – zachowywała się agresywnie, a jej wygląd wskazywał na spożycie alkoholu. Podczas zatrzymania zarówno mężczyzna, jak i kobieta naruszyli nietykalność cielesną funkcjonariuszy, posuwając się nawet do ich ugryzienia.* Nie jest najgorzej, mogli przecież nadziać policjantów na widły.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

wiatów

Bajki dla myślących

w twoim, przyjacielu, interesie!) ludzie żądni pieniędzy i władzy. Tak bardzo tego pragną, że gotowi są bić się i zabijać – oczywiście twoimi rękami.

Ale wyobraź sobie, że obraz przerażającej przyszłości świata uruchomił potężne ruchy społeczne obalające rządy na wschodzie i zachodzie, na południu i na północy.

Zaczęły upadać dyktatury. Ludzie zdali sobie sprawę nie tylko z tego, co i tak dla wielu było oczywiste: że autorytarna władza, nawet tak zwana oświecona i rzekomo prospołeczna, próbująca kupić nasze poparcie populistycznymi hasłami, działa faktycznie w interesie własnych pieniędzy, umocnienia swojej politycznej dominacji i brutalnej rozprawy z oponentami. Spostrzegli, że wprowadzany przez nią system prowadzi do terroru. Ogranicza prawa, zamiast je pielęgnować w interesie ogółu. Lęk obywateli przerodził się w złość, a nadzieja na zmiany – w działanie.

Jednak upadały kolejno nie tylko dyktatury. Obalano także rządy państw, które określały się jako demokratyczne. Bo cóż to za demokracja?! To plutokracja: system sprawowania rządów, którego podstawową zasadą jest bogactwo, a skutkiem – rosnące bez granic niesprawiedliwe nierówności. Odpowiedzialnością za wypaczenia demokracji obciążano zadowolone z siebie elity społeczeństwa, które dbały jedynie o swoje interesy, zapominając o pracującej większości starającej się jako tako wiązać koniec z końcem. Większość dostrzegła, że wybory są tylko pozorem. Są bardziej plebiscytem i konkursem piękności politycznych liderów niż merytoryczną rywalizacją na programy działania. Nie było komu o tym mówić. Już dawno pochowano ideę stworzenia publicznych mediów. Hulała propaganda realizowana przez pozornie niezależne prywatne media, zarządzana przez właścicieli kapitału dbających oczywiście o wspieranie systemu swojej władzy – władzy kapitału. Ludzie zdali sobie z tego sprawę i się zbuntowali.

Skutkiem obalenia rządów na całym świecie był oczywiście powszechny chaos i zamieszki. Jedyne dobre w tym nieszczęściu to, że chwilowy brak rządów uniemożliwił wybuch globalnej wojny.

Ale wyobraź sobie, że pewnego dnia na pogodnym niebie pojawiły się liczne niezidentyfikowane obiekty latające. Przestały działać wszystkie media elektroniczne, a po chwili każdy mógł zobaczyć i usłyszeć przemawiającą w zrozumiałym lokalnym języku chudą, wątłą osobę o wyłupiastych oczach i zielonej skórze. Owa postać przedstawiła się jako Uranos i ogłosiła przejęcie przez przybyszów władzy na Ziemi. Uranos oświadczył, że jakikolwiek opór jest bezcelowy oraz że wszystkie instalacje wojskowe zostały anihilowane. Mimo obecnych w przemówieniu zapewnień, że chodzi o dobro ludzkości, przerażenie zapanowało na całym świecie.

Jednak w trakcie następnych sześciu dni przerażenie stopniowo malało i pojawiała się nadzieja. Przejęte przez przybyszów media informowały bowiem o kolejnych decyzjach zarządców świata. Ogłoszono powszechne rozbrojenie i zakazano produkcji broni. Zarządzono rygorystyczną ochronę zasobów naturalnych. Przekazano technologię produkcji energii w procesie zimnej fuzji i zakazano wydobycia węgla i ropy naftowej do celów energetycznych. Wprowadzono także rozliczenia wyłącznie w nowej światowej walucie. Tym samym dotychczasowe waluty straciły wartość. Wprowadzono natomiast bezwarunkowy dochód podstawowy dla każdego i progresywne podatki.

W końcu powołano globalne państwo i światowy rząd działający w integracji z lokalnymi samorządami i określono ich zadania i kompetencje. Do rządu powołano ludzi wybranych losowo z całej populacji, dostarczając im technologii umożliwiającej niezwykle efektywny dostęp do wiedzy i możliwości prowadzenia analiz. Szóstego dnia nowy rząd przyjął i ogłosił Kodeks Praw i Wolności Obywatelskiej, który ma obowiązywać na Ziemi i chronić wolność każdego człowieka. Siódmego dnia przybysze zniknęli, zapowiadając swój powrót w razie konieczności. Natomiast nowy ludzki globalny rząd ogłosił zasady kontynuowania rozwoju państwa-świata w warunkach demokracji.

Jak zamierzał o to zadbać?

A to już inna bajka...

ANNA GRODZKA

REKLAMA

eprasa.pl 71af296b8a

Za Kamilkiem dzieci sznurkiem

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

System martwych dusz

Rozdarły się niebiosa od krzyku komentariatu po tym, gdy w połowie grudnia do zielonogórskiego szpitala trafiła zagłodzona przez rodziców trzyletnia smarkula. Jak to możliwe, że w państwie, które od miesięcy kładzie nacisk na poprawę bezpieczeństwa dzieci, jedno z nich doświadczyło prywatnego Auschwitz pod domową strzechą?

Bóle Helenki

Skrajnie niedożywiona trzylatka została przywieziona przez rodziców do Centrum Zdrowia Matki i Dziecka w Zielonej Górze 15 grudnia. Niepokój u troskliwych opiekunów wzbudził fakt, iż dziecko przestało reagować na bodźce. Nic dziwnego, bo w ocenie lekarzy małoletnia Helena ważyła zaledwie 8 kg, choć według siatki centylowej powinna około 16. Dziecko było osłabione i miało obrzęki stóp. Badania przyniosły niewesołą diagnozę niewydolności wielonarządowej, opóźnienia umysłowego i ogólnorozwojowego. Ku zdziwieniu wszystkich rodzina nie łapała się w ramki starej dobrej polskiej patologii: matka prowadziła własną działalność, a ojciec wypoczywał na policyjnej emeryturze. Zdawać by się mogło, że ptasiego mleka w tym domu nie brakło, a jednak.

O ile rodziców półtrupka nie przerażały ceny masła, o tyle wizja nabiału, mięsa, kasz czy fasoli w jamie gębowej córki jak najbardziej. Dlatego też zapobiegliwie upewnili się, czy aby córcia będzie karmiona w lecznicy tak jak w domu: popłuczynami z cycka matki i winogronami. Jak ustalili śledczy: *Rodzice nie czują się winni. Uważają, że owoce są źródłem cennych witamin, a wyłączenie białka pochodzenia zwierzęcego pomoże uniknąć chorób*. Magdalena J. i Rafał O. tłumaczyli, że karmili córkę innymi produktami, ale gówniara nie chciała współpracować i jadła tylko owoce tak jak mama. To jedno by się zgadzało, bo lekarze potwierdzili u dziecka jadłowstręt, podobny jak w przypadku anoreksji. Prokuratura Okręgowa w Zielonej Górze nie dała się przekonać frutariańskim rodzicielom i na wszelki wypadek zameldowała ich w areszcie. Hasło „czemu nikt nie zauważył?!" przetoczyło się przez wszystkie szczeble oburzenia jak debata publiczna długa i szeroka. Tymczasem ukrycie smarka przed państwowym systemem w kraju nad Wisłą jest łatwe jak łyknięcie setki do obiadu.

Dziura

Trzylatka z rodzicami mieszkała we wsi Okunin w gminie Sulechów. Babcia dziecka zajmująca dom obok w rozmowie z mediami stwierdziła, że od kiedy urodziło się dziecko, rodzina całkowicie odizolowała się od bliskich. Jak skwapliwie wyjaśnili płodziciele Helenki, ich córka urodziła się w domu, nie uczęszczała do żłobka ani przedszkola. Dziecko nie było przypisane do żadnej z lecznic POZ (podstawowej opieki zdrowotnej), do pewnego etapu rodzina korzystała z prywatnych wizyt lekarskich. Prokuratura bobruje w aktach NFZ, żeby sprawdzić, czy mała nie była dodatkowo hodowana w nurcie antyszczepionkowym.

Dzieci niezadeklarowane do żadnego POZ nie są objęte badaniami bilansowymi ani kontrolą rozwoju. Niegdyś obowiązywała zasada, zgodnie z którą pacjent zapisany do lekarza podstawowej opieki zdrowotnej nie mógł zrezygnować z tej opieki bez wyboru nowego lekarza POZ. Kilka lat temu NFZ przy wsparciu stanowiska Ministerstwa Zdrowia zmienił podejście i uznał, że pacjent ma prawo do rezygnacji z usługi bez konieczności wskazywania innego medyka z systemu. Po takim manewrze lekarze POZ nie mają możliwości kontaktowania się z byłymi pacjentami ani przetwarzania ich danych osobowych. Dziwnym trafem po ministerialnej i NFZ-towskiej decyzji z POZ-ów nastąpił gwałtowny odpływ deklaracji dziecięcych. Ten zaś trend spiął się z falą antyszczepionkowej fali. Bachory bowiem, których rodzice nie złożyli glejtu u żadnego lekarza, nie są objęte monitoringiem sanepidu w zakresie szczepień ochronnych. Z perspektywy samych lekarzy POZ rezygnacja takich pacjentów może wydawać się bardziej niż korzystna, bo mało kto chciałby się boksować z gównem – antyszczepionkowa szuria często generuje konflikty, robiąc afery w związku ze zgłoszeniami do sanepidu. Idiota z wozu, lekarzowi lżej. Z dziury w systemie cieszą się też rodzice stosujący metody wychowawcze oparte na prawie pięści i kabla od prodiża, bo ryzyko, że lekarz czy pielęgniarka na obowiązkowym bilansie odkryje wszystkie kolory tęczy na plecach gówniarza, jest wyeliminowane.

Remedium

16 grudnia Tomasz Zieliński, prezes Lubelskiego Związku Lekarzy Rodzinnych – Pracodawców, skierował do ministra zdrowia wniosek dotyczący zmiany podejścia w sprawie monitorowania szczepień ochronnych u dzieci, których rodzice próbują wykiwać system. Zieliński zaapelował o analizę możliwości wprowadzenia obowiązku wskazania nowego lekarza POZ przez pacjentów rezygnujących z opieki u obecnego medyka. Poprosił również o wskazanie, co powinno stać się z kartami uodpornienia, które pozostają w placówkach medycznych po exodusie pacjentów z opieki.

Pytanie, co zrobi z tym fantem Izabela Leszczyna, pozostaje otwarte. Z jednej strony według raportu przygotowanego przez Fundację Zdrowia Publicznego straty państwa i pracodawców spowodowane absencją w pracy z powodu chorób zakaźnych, którym można zapobiegać szczepieniami, wyniosły 2 mld zł. Z drugiej –

dane pokazują, że coraz więcej rodziców i opiekunów nie chce zabezpieczać szczepieniami nie tylko siebie, ale i dzieci – nawet obowiązkowymi. 10 lat temu ich decyzje dotyczyły ponad 12 tys. nieletnich, w 2023 r. – już blisko 90 tys.

Trend nie tylko ma się dobrze, ale rośnie w siłę. Wyjątkowo trudny do rozwiązania węzeł gordyjski w dobie nadchodzących wyborów prezydenckich… Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej wespół z Ministerstwem Sprawiedliwości mogą umyć od sprawy ręce, problem braku monitorowania dziatwy od strony medycznej leży bowiem w gestii Ministerstwa Zdrowia. Wszystkie te składowe pokazują, że słynna ustawa Kamilka, która miała wprowadzić nowe standardy nadzoru państwa nad bezpieczeństwem smarków, gówno da, jeśli działania systemu opieki zdrowotnej, pomocy społecznej i organów ścigania nie będą połączone. Do tego jednak daleka droga.

Epilog

Rodzicom zagłodzonej Heleny grozi do 20 lat pierdla. Prokuratura postawiła obojgu zarzut stworzenia choroby realnie zagrażającej życiu w postaci niewydolności wielonarządowej, do której została doprowadzona przez nieodpowiednie odżywianie. W ocenie śledczych stanowiło to również znamiona przestępstwa znęcania się nad małoletnią. Na razie nie warto otwierać szampana. W 2015 r. zapadł wyrok w podobnej sprawie. Półroczna Magdalena z Brzeznej koło Nowego Sącza zmarła w połowie kwietnia 2014 r. Dziecko w chwili śmierci ważyło 3,6 kg. Na ciele dziewczynki nie znaleziono śladów znęcania. Lekarze jako przyczynę zgonu uznali wyniszczenie organizmu spowodowane niedożywieniem. Rodzice w śledztwie przyznawali się do winy, tłumacząc, że wykonywali polecenia znachora, który przez telefon mówił, co dziecko ma jeść. Magdalenę przez kilka miesięcy karmiono kozim mlekiem, wodą i kaszką. Joanna i Michał P. dobrowolnie poddali się karze i dostali wyrok sześciu miesięcy więzienia, ale za kraty nie poszli, ponieważ na poczet kary zaliczono im siedem miesięcy aresztu. Rodzice Heleny utrzymują, że informacje o prawidłowym w ich mniemaniu żywieniu córki czerpali z internetu. Nie przyznają się do winy, intencje mieli przecież jak najlepsze.

IDALIA DUBICKA

Ufff, j

Kapitał sp

Nie lubimy się i nie ufamy sobie – takie optymistyczne wnioski można wyciągnąć z raportu „Kapitał społeczny w Polsce" sporządzonego przez Polski Instytut Ekonomiczny (PIE). Przez to, że sobie nie ufamy, nie jesteśmy w stanie stworzyć nic wielkiego i wartościowego. Ufamy tylko najbliższej rodzinie, a i to nie wszyscy. Dobra wiadomość jest taka, że jesteśmy coraz bogatsi, ale też nie wszyscy.

Wespół w zespół

W dupach nam się poprzewracało od tego dobrobytu. Wprawdzie liczba udzielanych chwilówek wzrosła w ostatnim czasie o połowę, ale – jak tłumaczył wiceminister spraw zagranicznych Andrzej Szejna – to dobrze dla gospodarki, bo zwiększa się konsumpcja. Jak mamy raka, to też dobrze, bo to znaczy, że mamy serce do zwierząt. W każdym razie ekonomiści z PIE, patrząc na nas zaklętych w wykresy i tabelki, widzą, że obiektywnie się bogacimy. Równocześnie zwracają uwagę, że bogacimy się nierównomiernie, czyli rosną nierówności, a to rodzi napięcia. Jak się nie zaczniemy lubić, to cały ten wzrost gospodarczy szlag trafi i będzie bieda. Bo tylko współpraca prowadzi do dobrobytu. W pojedynkę nikt świata nie zawojował.

Nie ufamy innym, bo jesteśmy biedni, a jesteśmy biedni, bo nie ufamy innym – zdaje się mówić raport. Żeby więcej zarabiać, trzeba mieć większy kapitał społeczny, czyli umiejętność tworzenia więzi, zrzeszania się i współdziałania. A ten kapitał bierze się z dobrobytu. Błędne koło. Im kto mniej zamożny, z tym większą nieufnością patrzy na innych, zwłaszcza bardziej dorobionych, i uważa, że wszyscy chcą go oszukać. Choć trzeba pamiętać, że – jak mówił Woody Allen – *fakt, że jestem paranoikiem, nie znaczy, że oni wszyscy mnie nie śledzą*. Tylko 24 proc. Polaków zgadza się ze stwierdzeniem, że wszystkim ludziom można ufać, podczas gdy w Danii i Norwegii jest to ponad 70 proc., a w Finlandii, Szwecji czy Islandii ponad 60 proc. Ale tam prawie nie ma Polaków. O jeden procent mniej ufni od nas są Rosjanie, najmniej zaś – Albańczycy. Oczywiście jesteśmy podejrzliwi, bo zabory, komuna itd. Tak nas przeszłość przeczołgała, że mamy słabe widoki na przyszłość. Historia nigdy nie przeszła w Polsce do historii.

Z wiekiem stajemy się bardziej ufni, ale to już często za późno. Podobno człowiek mądrzeje z wiekiem, a zwykle jest to wieko od trumny. Starsze pokolenia bardziej ufają ludziom, może dlatego że ich przedstawiciele nie zaznali dobrodziejstw mediów społecznościowych w takim stopniu jak młodsi, a może nie pamiętają, dlaczego mają nie ufać albo to ignorują.

W cenę każdego wywiezienia go

Ekolo gołeg

Od 1 stycznia na każdą gminę zostaje nałożony ustawowy obowiązek segregacji odpadów tekstylnych i odzieży. Dziurawych skarpetek, majtek i staników, które będziemy wyrzucać, nie będzie można umieścić w pojemniku na odpady zmieszane, tylko trzeba będzie odwozić je do PSZOK – punktu selektywnego zbierania odpadów komunalnych. Takie miejsce z reguły jest w gminie jedno. Gminy nie dostały ustawowego prikazu dostawienia kolejnego kontenera, więc trzeba będzie się z dziurawym podkoszulkiem do PSZOK pofatygować. Jeśli ktoś jednak zanieczyści inne śmiecie śpioszkami czy pończochami, może załapać się na karę finansową i przez następne miesiące płacić za wywóz śmieci dwu-, a nawet czterokrotnie drożej niż do tej pory.

Cwaniaczki, które uważają, że jak ubranko jest całkiem sztuczne, bo na przykład z poliestru, to można je wsadzić do kontenera z plastikami, są w błędzie. Według nowego prawa wszystkie tekstylia są bowiem równe.

Lepiej, czyli gorzej

W połowie roku 2013 sprawa ze śmieciami wydawała się prosta. Gminy opodatkowały wszystkich zamieszkujących na swoim terenie ludzi. Jak ktoś zobowiązywał się, że śmiecie pogrupuje na zmieszane, plastikowe i szklane, miał płacić kilkanaście złotych. Gdy obywatelowi się nie chciało dzielić odpadków, to płacił o jedną trzecią więcej.

Miały się skończyć czasy zamykanych na kłódki śmietników, bo nie było różnicy, gdzie kto co wyrzuci. Dla firm odbierających odpady nie miało to znaczenia. W umowach z gminami miały zapisane, że teraz mają brać jak leci od każdego.

Do przetargów na odśmiecanie gmin firmy ustawiały się w długich kolejkach. Samorządy miały problem z głowy. Ludzie kręcili nosami, ale w końcu się do nowych przepisów przekonali. Z lasów i łąk zaczęły znikać dzikie wysypiska. Między połową 2013 r. a rokiem 2017 ich powierzchnia zmniejszyła się o jedną trzecią.

W roku 2017 weszły nowe przepisy. Gminy zostały zobowiązane go segregowania śmieci w pięciu grupach. Osobno miał być papier, osobno plastik i złom metalowy, osobno szkło, tak samo odpadki kuchenne do kompostowania i oczywiście miały też być śmiecie zmieszane, czyli komunalne.

Firmy odbierające odpadki musiały na nowo startować w przetargach, mieć gwarancje finansowe i na dodatek certyfikaty, że są w stanie odbierać i przerabiać nową zawartość śmietników.

Tym razem o przetargi nikt się nie bił. Wymagania formalne były takie, że jedna trzecia dotychczasowych kontrahentów dała sobie siana i zajęła się czymś innym, czyli odbieraniem zanieczyszczeń od wszystkich z wyjątkiem gmin. Te przedsiębiorstwa, które po spełnieniu wymogów zostały na polu walki, mogły zacząć dyktować gminom znacznie wyższe ceny.

Okazało się, że znana z cywilizowanego Zachodu zasada segregowania śmieci, która tam ułatwiła zadanie firmom śmieciowym i obniżyła ich koszty, w Polsce nie działa. Naszym przedsiębiorcom koszty bowiem wzrosły. Zamiast po trzy rodzaje pojemników musieli teraz jeździć po pięć. Paliwo i nowe śmieciarki kosztowały. Wzrostu tych cen w żaden sposób nie rekompensowało segregowanie. Bo plastik plastikowi, a szkło szkłu nierówne. Tak jak i złom metalowy. Na dodatek odzyskane surowce przestały być sprzedawalne.

Niemcy wprowadziły więc kaucję za plastikowe butelki i puszki. Dzięki temu mają w cholerę niepotrzebnego nikomu plastiku. Nikt nie wpadł, żeby firmom produkującym plastik nakazać wykorzystywanie do jego produkcji co najmniej 70 proc. komponentów pochodzących z recyclingu. Stworzyłoby to rynek dla plastikowych odpadów, którymi nie trzeba by zaśmiecać krajów Trzeciego Świata i Polski. Tymczasem regulacja unijna mówi ledwie o 25 proc. udziale plastiku z recyklingu w butelkach.

Dlatego dziś do recyklingu trafia w Polsce niecałe 27 proc. odpadów – tyle samo od trzech lat. Europa ma wskaź-

eprasa.pl 71af296b8a

jak nieufnie

społeczny w kapitalizmie

Gdy ciało słabnie, siłą rzeczy trzeba zdać się na innych, a podejrzenie, że każda szklanka wody posłodzona jest cyjankiem, może wpędzić do grobu tak wcześnie, że ZUS odetchnie z ulgą.

Przez ścianę z wrogiem

Autorzy raportu wymieniają zaufanie jako jeden z podstawowych wyznaczników kapitału społecznego. Choć spora część Polaków ma w domu obrazek z hasłem „Jezu, ufam Tobie", to poza zmyślonym przyjacielem nie ufa prawie nikomu. Więcej Polaków bardziej wierzy Owsiakowi niż dalszym krewnym. Bardziej polegamy na wyszukiwarce Google niż na przyjaciołach. Bankom wierzymy bardziej niż sąsiadom. Banki okradają nas w sposób bardziej subtelny i nie wiercą o szóstej rano, chyba że dziurę w brzuchu ofertą kredytową.

Sąsiad to oddzielna kategoria dla Polaka. Aż 70 proc. przebadanych przez PIE zadeklarowało, że nie ufa większości albo żadnemu z nich. Figura sąsiada to w Polsce niemal od zawsze wcielenie wszystkiego najgorszego. Największy rywal, szkodnik i debil.

Nie od dziś rodacy kupują drogie fury czy inne gadżety nie po to, żeby się nimi cieszyć, ale żeby sąsiadowi gul skoczył. Nic nas tak nie cieszy jak porażka sąsiada.

Ten odwieczny konflikt ma swoje odzwierciedlenie w popkulturze: od perypetii Karguli i Pawlaków po dzisiejsze memy z „somsiadem". Nasz przyjazny stosunek do ludzi żyjących przez ścianę spisał Marek Koterski w „Dniu świra" w scenie, w której całe osiedle odmawia „Modlitwę Polaka":

Gdy wieczorne zgasną zorze,
Zanim głowę do snu złożę,
Modlitwę moją zanoszę
Bogu, Ojcu i Synowi:
Dopierdolcie sąsiadowi!
Dla siebie o nic nie wnoszę,
Tylko mu dosrajcie, proszę. (…)
Żeby mu okradli garaż,
Żeby go zdradzała stara,
Żeby mu spalili sklep,
Żeby dostał cegłą w łeb,
Żeby mu się córka z czarnym…
I w ogóle, żeby miał marnie,
Żeby miał AIDS-a i raka.
Oto modlitwa Polaka.

Książka Jana Tomasza Grossa o pogromie w Jedwabnem nieprzypadkowo nosi tytuł „Sąsiedzi".

Nie dziwi chyba, że nie ufamy politykom, a tylko trochę bardziej Kościołowi. Politycy i kler ciężko sobie zapracowali na brak zaufania, a ostrożność wobec nich jest raczej objawem rozsądku niż braku kapitału społecznego.

Rys. TOMASZ WIATER

Politycy też nam nie ufają i uważają, że tylko wtedy jesteśmy demokratami, gdy głosujemy na ich partię. *Społeczeństwo składa się z przypadkowych jednostek, wciąż nie można mieć do niego zaufania* – mówiła Halina Nowina-Konopka w czasie debaty o referendum w sprawie aborcji (stąd nasze „Przypadkowe społeczeństwo" jako tytuł paginy). Bo że księża mają ludzi za niegodnych zaufania kmiotów, to oczywiste.

Mocni w gębie

W deklaracjach to my jesteśmy całkiem fajni. Porządni, uczciwi i tolerancyjni, choć nieufni. Zdecydowana większość z nas (86 proc.) uważa za niedopuszczalne przyjęcie łapówki albo oszukiwanie skarbówki (72 proc.). Nawet jazda na gapę jest powszechnie potępiana (72 proc.). 73 proc. z nas zgadza się ze stwierdzeniem, że cudzoziemcy w Polsce powinni mieć swobodę życia zgodnie z własnymi zwyczajami, o ile nie naruszają obowiązujących norm i przepisów. Ponad 80 proc. przepytanych odpowiada: *osoby, które mają odmienne poglądy polityczne, szanuję na równi z tymi, z którymi się zgadzam*; *nie mam problemu z akceptowaniem osób, których styl życia całkowicie odbiega od mojego* i *nie miałbym nic przeciwko, gdyby partia, na którą głosuję, wystawiła na 1. pozycji osobę innego wyznania niż ja*. Zatem albo wojna polsko-polska to twór wirtualny, albo nasze deklaracje nie przechodzą próby w działaniu. Podczas świątecznych spotkań będzie okazja sprawdzić wartość tych zapewnień, które zazwyczaj tracą aktualność najpóźniej przy drugiej flaszce. W badaniach zawsze wychodzi, że Polacy chcieliby w telewizji więcej kultury wysokiej, a jak przychodzi co do czego, to największą oglądalność mają telenowele. Głupio powiedzieć ankieterowi, że ciapatego w sąsiedztwie by człowiek nie zdzierżył, a kuzyna pisowca najchętniej anihilował.

Wygląda na to, że gdyby wszyscy byli zdrowi, piękni i bogaci, a w dodatku uczciwi i prawdomówni, to żyłoby nam się o wiele lepiej. Prawda, że proste?

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

fragmentu ubrania wlicz koszt na gminne składowisko.

ogia go tyłka

niki lepsze o prawie 4 proc. Poziom poddanych w Polsce recyklingowi tworzyw sztucznych jest niższy od średniej europejskiej. Ma wartość 21 proc., gdy średnia unijna to 27 proc. Najciekawsze jednak jest to, że w Europie plastikowe śmiecie nadające się do powtórnej obróbki są pozyskiwane 16-krotnie częściej ze zbiórki selektywnej, czyli podzielonych na frakcje śmieci. U nas wygląda to procentowo niemal tak samo. Zagospodarowano ponad 45 proc. podzielonych na grupy odpadów, przy niecałych 3 proc. odzyskanych przez sortownie z odpadów zmieszanych. Dzielenie śmieci okazywało się mieć sens, ale dla polskich polityków jakby mniejszy.

Taniej, czyli drożej

Gdy rząd PiS zabronił palenia plastikiem w piecach, dla firm śmieciowych zaczął się prawdziwy koszmar. Zamiast sprzedawać plastik, musiały go zacząć magazynować.

Oczywiście – jak to firmy mają w zwyczaju – odbiły to sobie nowymi cenami kontraktów z gminami. Te poprzerzucały koszty na ludność. W Warszawie wygląda to tak, że o ile w 2016 r. miasto płaciło śmieciarzom 325 mln zł, to w 2020 r. kwota ta wyniosła już 1,2 mld zł. Po to, żeby potem spaść do 1,08 mld zł. Jeszcze zabawniej zrobiło się, gdy w stolicy zaczęto aresztować ludzi związanych z biznesem śmieciowym i kontraktowaniem tego w Urzędzie Miasta. Wśród zatrzymanych był były wiceminister skarbu, szef Pracodawców RP Rafał Baniak. Sekretarz stolicy Włodzimierz Karpiński do aresztu trafił wiosną 2023 r. po usłyszeniu zarzutu przyjęcia korzyści majątkowej w kwocie blisko 5 mln zł, a wyszedł dlatego, że w listopadzie wskoczył na wakat europosła.

Po tym wszystkim dało się wynegocjować z firmami wywożącymi stołeczne śmiecie stawki niższe o ponad 20 proc. Dzięki czemu Warszawiacy płacić będą mniej. Jednak w innych miastach tak nie ma. I stawki rosną. Czasem o 100 proc. rok do roku.

Doszliśmy do momentu, że Polacy płacą za śmiecie więcej niż Niemcy. A przecież Niemcy zarabiają cztery razy tyle, co my. Historia ekonomii uczy, że w takich sytuacjach zmuszeni do płacenia zaczynają kombinować.

A obowiązujące od lat prawo ma wiele furtek. Dopóki ceny były rozsądne, korzystało z nich niewielu. Dziś wykorzystuje je, kto tylko może.

Przepisy stanowią bowiem, że właściciel nieruchomości może nie przyjąć śmieciowych usług gminy. Pod warunkiem jednak, że udokumentuje, jak pozbywa się śmieci. Czyli pokaże gminie umowę z firmą, która na zbieranie śmieci ma zezwolenie. Gmina może w każdej chwili zażądać kwitów opłat za taką usługę. Załatwia się to więc tak, że jest wiele firm mających zgody, które podpisują umowy na jedną dziesiątą tego, co odbierają w rzeczywistości. Albo nawet wcale. Za groszowe wpłaty za nicnierobienie wystawią właścicielowi posesji, co tylko będzie chciał. W takim przypadku żaden urzędnik nie może się do niczego przyczepić.

Innym mykiem na niepłacenie za śmiecie jest zgłoszenia gminie, że nie wytwarza się odpadów. Trzeba jedynie napisać kwit mówiący, że chałupa stoi pusta, bo wszyscy wyjechali na przykład za granicę do roboty.

Gmina nie może też kasować kasy za śmiecie, jeśli ktoś oświadczy jej, że dom jest domkiem letniskowym, a wszystkie śmiecie właściciel zabiera samochodem do miejsca, w którym mieszka na co dzień.

Czyściej, czyli brudniej

Ludzie, którzy od zawsze wymigiwali się z płacenia gminom za odpady, oczywiście śmiecili, albo deklarując, że segregują, nie segregowali. Nikt przecież nie wpadł na pomysł, by w miejskich wysokościowcach zaspawać zsypy na śmiecie. A kto przy zdrowych zmysłach, mając możliwość wywalenia resztek do zsypu, będzie dymał z różnymi frakcjami do oddalonego od bloku śmietnika?

Ci ze wsi i miasteczek też dawali sobie radę i wywozili odpadki gdzie się da. Najczęściej do lasu. W 2017 r. przed wejściem obowiązujących przepisów i związanych z nimi podwyżek, urzędnicy ochrony środowiska zinwentaryzowali w kraju 1661 dzikich wysypisk. Liczyły one 1,41 mln mkw. W roku 2020 liczba plenerowych śmietników wyniosła 1868 i sięgnęła tego, od czego zaczynaliśmy w 2013 r. Jak twierdzi GUS, w 2022 r. zlikwidowano aż 10 714 dzikich wysypisk, z których łącznie zebrano ok. 25 tys. ton odpadów komunalnych. Tyle że na koniec 2022 r. odnotowano istnienie 2217 dzikich wysypisk. Było ich więcej, niż gdy ruszaliśmy do antyśmieciowej krucjaty.

Trend dotyczący wypisywania się ludzi z gminnych systemów odbioru odpadków we wschodnich województwach był w ostatnich latach alarmujący. Resort środowiska był tego świadom. Urzędnicy nie mogli jednak z tym fantem nic począć. Jakiekolwiek formy śmieciowego dyscyplinowania pisowskiego elektoratu na wsi lubelskiej, podkarpackiej czy podlaskiej nie wchodziły przecież w grę. Nowogrodzka zabroniła resortowi śmieciami na wsi się zajmować. Dzięki temu statystyki pokazują, że Polacy z roku na rok produkują coraz mniej śmieci. Nowa władza, mając chrapkę na kupienie sobie wiejskich i małomiasteczkowych wyborców, też nic z tym fantem nie robi.

Pewnie dlatego, że teraz kolejny raz przesunęła wdrożenie pisowskiej ustawy o kaucjach za plastikowe butelki. Słusznej, bo służące selektywnej zbiórce kaucje mają sens. Nawet mimo takich idiotyzmów jak to, że duże sklepy będą musiały odbierać puste opakowania i oddawać klientom kaucję, która niekoniecznie będzie pobierana w ich sklepie. A to dlatego, że w małych placówkach handlowych kaucja będzie co prawda pobierana, ale przyjmowanie pustych butelek będzie w nich dobrowolne. Czyli przyjmować ich nie będą. Do systemu kaucyjnego trzeba będzie zatrudnić więc osobną księgową i ludzi do liczenia pustych butelek. Powstaną też nowe konta, na które sklepy będą wpłacały pozyskane z kaucji pieniądze. Możliwości machlojek będą więc setki, zwłaszcza że aby otrzymać zwrot kaucji, nie będzie konieczności okazywania paragonu. Znając życie, dużym sklepom zwrot kaucji nie będzie się bilansował i będą płakały, że dopłacają do interesu.

Plastikowe butelki to ledwie parę procent wszystkich odpadków. Koncentrowanie się wyłącznie na nich, gdy na łopatkach jest cały system selekcjonowania i odbioru śmieci, to więc nic innego jak ulubione przez każdą władzę w Polsce działania pozorne.

Natomiast zmuszenie ludzi, by śmigali wiele kilometrów ze starymi ubraniami, czyli wymuszanie na nich zachowań ekologicznych sprowadzających się do nienoszenia bielizny i skarpetek, to w przeddzień wyborów prezydenckich więcej niż zbrodnia – to głupota.

TADEUSZ JASIŃSKI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 71af296b8a

Biografia Kwaśniewskiego wyjaśnia, czemu postkomunistyczna lewica nie była za bardzo lewicowa.

Stamtąd do przyszłości

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Powinien być ustawowy zakaz pisania biografii ludzi jeszcze żyjących – zauważył prezydent Aleksander Kwaśniewski podczas promocji książki Michała Sutowskiego. Najnowszej biografii tegoż Aleksandra Kwaśniewskiego.

Uwaga Kwaśniewskiego jest trafna, bo w trakcie dyskusji o książce przypominano epizody z życia prezydenta. Wtedy okazywało się, że kilku ich świadków, obecnych na promocji, zachowało w swych pamięciach przeróżny ich wizerunek.

Ta prezydencka biografia nie jest jedynie opisem żywota poczciwego najlepszego z dotychczasowych prezydenta RP. Nie jest też wrednym pamfletem. Nie napisano jej z punktu widzenia kamerdynera podglądającego kulisy życia znanego polityka. Nie znajdziemy tam wielu plotkarskich smaczków z życia prezydenckiej rodziny.

Książka Sutowskiego ma podtytuł „Biografia polityczna", który od razu wiele wyjaśnia.

Merytokracja

Pisząc polityczną biografię wybitnego polskiego polityka, Michał Sutowski napisał też biografię polityczną pierwszego pokolenia Polski Ludowej. Ludzi urodzonych już po śmierci Stalina, w wigilię październikowego przełomu. Uczniów podstawówek w czasach gomułkowskiej małej stabilizacji. Kończących licea i studia wyższe w czasach gierkowskiego dolce vita zakończonego kryzysem gospodarczym, falą strajków, powstaniem Solidarności i stanem wojennym.

To pokolenie ówczesnych „pięknych prawie trzydziestoletnich" rozpoczynało swe kariery zawodowe w latach 80. W czasie politycznego i gospodarczego kryzysu, braku wszystkiego oraz wszechobecnego poczucia beznadziei. Jasna przyszłość jawiła się wtedy jedynie na emigracji.

Oczywiście nie jest to biografia polityczna całego ówczesnego pokolenia. To biografia inteligentów, często w pierwszym pokoleniu, którzy zdecydowali się na aktywność społeczną i polityczną w ramach systemu politycznego.

Nie wsparli swych starszych kolegów z opozycyjnej, potem nielegalnej Solidarności. Nie współtworzyli opozycyjnego i też nielegalnego Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

Jeden z wybitnych reprezentantów tego pokolenia, Józef Oleksy, określił siebie i swoich politycznych kolegów mianem „patriotycznych oportunistów".

Trzeba przypomnieć, że w Polsce Ludowej młodzi ludzie tworzyli swe pokoleniowe identyfikacje. Nawiązywali do pokolenia Kolumbów, pierwszego pokolenia II Rzeczpospolitej. W Polsce Ludowej powstały pokolenia: ZMP-owców, inteligentów wiejskiego pochodzenia, marcowe, socjalistycznych menadżerów.

Czasem dochodziło do humorystycznych przegięć – kiedy każda nowa grupa młodych poetów mianowała się kolejnym pokoleniem i zaczynała swą działalność od ogłoszenia swego manifestu pokoleniowego. Nierzadko na tym swą twórczość kończąc.

Pokolenie Aleksandra Kwaśniewskiego też dystansowało się od pierwszego pokolenia Polski Ludowej. Od koncepcji *Nie matura, lecz chęć szczera...*, od haseł radosnej budowy socjalizmu, proletariackiego internacjonalizmu, gromkiego podziwu dla osiągnięć bratniego Związku Radzieckiego.

Przyszłość Polski Ludowej widzieli nie w rewolucji proletariackiej lecz w rewolucji menadżerów. Czuli się przede wszystkim inteligentami, nawet jeśli byli nimi w pierwszym pokoleniu baczącym na przysłowiową słomę z butów.

Czuli się lepiej wykształceni niż oficjalny polityczny hegemon, czyli klasa robotnicza. Uważali się też za lepiej wykształconych i nowocześniejszych od starszych pokoleń socjalistycznych elit politycznych i administracyjnych. I rzeczywiście tacy byli.

Pokolenie Kwaśniewskiego pragmatycznie akceptowało hegemonię polityczną Związku Radzieckiego i udział Polski w obozie socjalistycznym. Nie wierzyło w szybki upadek ZSRR. Modernizację systemu Polski Ludowej upatrywało w zwiększeniu roli merytokracji na wszelkich szczeblach zarządzania. W powierzaniu kierowniczych stanowisk „dobrym fachowcom, ale bezpartyjnym". W awansowaniu partyjnych młodszych, ale lepiej wykształconych i nowoczesnych.

Cywilizacja zachodnia

Ówczesna nowoczesność wiązała się z akceptacją i często podziwem dla osiągnięć kapitalistycznego Zachodu. Jazz i Coca-Cola nie były już przejawem degeneracji zachodniej cywilizacji. Kapitalizm nadal był skazany na upadek, ale dopiero w oddalającej się przyszłości. Na razie kapitalizm „gnił, ale gnił całkiem przyjemnie", zwłaszcza dla przyjezdnych z Polski.

W latach 70. XX w., w czasie dekady Gierka, polska gospodarka związała się z zachodnioeuropejską. Za zachodnie kredyty kupowano nowoczesne technologie. Rozpoczęto produkcję popularnych lodówek, pralek, zamrażarek, Fiata 126p.

Taka polityka zintensyfikowała kontakty polskich technologów, dyrektorów, wykwalifikowanych robotników z kapitalistycznymi przedsiębiorstwami. Zimnowojenna żelazna kurtyna stała się przepuszczalna.

Zachodnie technologie wymagały nowego systemu produkcji, zarządzania. Wtedy powstały warstwy socjalistycznych dyrektorów. Rządzący socjalistycznymi fabrykami sekretarze PZPR musieli się dzielić władzą i odpowiedzialnością z coraz bardziej pragmatycznymi dyrektorami, nowymi socjalistycznymi menadżerami.

Socjalistyczna ideologia stawała się coraz bardziej obrzędowa. Coraz mniej wpływała na działalność gospodarczą.

Podobnie było z oficjalną, nawet wpisaną do Konstytucji PRL, przyjaźnią ze Związkiem Radzieckim. Polityczny oportunizm nakazywał uczestnictwo w partyjno-państwowych obrzędach ku czci przyjaźni z bratnim ZSRR.

Michał Sutowski, „Aleksander Kwaśniewski. Biografia polityczna. Tom pierwszy 1954–1995", Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2024 r.

Ale ZSRR nie był wzorem cywilizacyjnego rozwoju. Polskie kompleksy odreagowywano pogardą dla ruskiego dziadostwa. Polski patriotyzm nakazywał wyciskać z handlu – uprawianego podczas delegacji służbowych i wyjazdów turystycznych – jak najwięcej kasy. Każdy taki wyjazd musiał się zwrócić, czyli być źródłem dodatkowego zarobku.

W latach 70. w marzeniach pokolenia patriotycznych oportunistów Polska Ludowa powinna jak najwięcej czerpać z kapitalistycznego Zachodu, być najweselszym barakiem w socjalistycznym obozie. Ewoluować ku modelowi fińskiemu. Czyli niekonfrontacyjnej polityce wobec ZSRR w zamian za gospodarkę rynkową, wolności osobiste i uprzywilejowanie w kooperacji gospodarczej z ZSRR.

Ta opcja prozachodnia będzie fundamentalną w pokoleniu Kwaśniewskiego.

Socjal i demokracja

Ideologia komunistyczna, zwłaszcza w radzieckim wydaniu, obca była temu pokoleniu. Jednak i konfrontacyjny kapitalizm nie był jeszcze mentalnie akceptowany. Jego ówcześni zwolennicy oportunistycznie milczeli.

Najdalej idącym wtedy postulatem było równoprawne istnienie w gospodarce sektorów państwowego, spółdzielczego i prywatnego. Oczywiście wielki przemysł miał być w rękach państwa.

Dlatego pokolenie Kwaśniewskiego często powoływało się na rozwiązania skandynawskie. Zawsze z przypomnieniem, że jest to model socjalizmu skandynawskiego tworzonego przez partię socjaldemokratyczną, gdzie wszyscy zwracają się do siebie per „towarzyszu".

Ten skandynawski socjaldemokratyzm był też popularny wśród polskiej partyjnej inteligencji starszego pokolenia. Guru tego nurtu stał się redaktor „Polityki", potem wicepremier Mieczysław F. Rakowski. Wróg ideowych komunistów z PZPR. Warto przypomnieć, że w tamtych środowiskach określenie „socjaldemokrata" było wielką obelgą.

Przyszły prezydent Kwaśniewski odbył studencką praktykę w Szwecji. Poznał tam szwedzkich socjaldemokratów, także z robotniczych środowisk. To dodatkowo legitymizowało potem jego socjaldemokratyzm i prozachodnią opcję.

Jak zauważa Michał Sutowski, na początku III Rzeczpospolitej

Kwaśniewski jako poseł i lider nowej socjaldemokratycznej partii SdRP musiał wybierać między socjaldemokratycznymi, społecznymi modelami gospodarczymi a neoliberalną polityką Leszka Balcerowicza. I wtedy częściej opowiadał się za gospodarką neoliberalną.

Za to był konsekwentny w demokratyzowaniu systemu politycznego. Z ideologii socjaldemokracji przyszły prezydent preferował demokrację, a ów socjal pomijał, składał w ofierze, kiedy demokracja bywała zagrożona.

Dziś rzeklibyśmy, że przyczynił się do powstania kultury zapierdolu.

Przyszłość

Hasło *Wybierzmy przyszłość* zawsze towarzyszyło karierze Kwaśniewskiego i było hasłem jego pokolenia. Także moim, bo należę do tego pokolenia i identyfikuję się z nim. Zróżnicowanym wewnętrznie ideowo, ale złączonym hasłami merytokracji, prozachodniej modernizacji, socjaldemokracji i pragmatyzmu w imię lepszej przyszłości.

Hasło *Wybierzmy przyszłość* – czyli szeroko rozumianą nowoczesność – słodziło beznadzieję lat 80. Pokazywało pragmatyczną ucieczkę do przodu. Skoro nie mamy wpływu na bieżącą politykę, to propagujmy rozwój nauk, zwłaszcza nowych technologii. Komputeryzujmy się. Uczmy się nawet od diabła. Dyskutujmy, szukajmy porozumienia.

W końcówce lat 80. to pokolenie Kwaśniewskiego aktywnie wspierało reformatorów ze środowisk władzy zmierzających do porozumień Okrągłego Stołu.

A potem tworzyło lewicę oraz demokratów w III RP. I jeśli narzekano, że ta lewica SLD-owska nie była wystarczająco lewicowa, to książka Sutowskiego wyjaśnia przy okazji, czemu tak było.

Dziś wszyscy zgadzają się, że sentencja *Wybierzmy przyszłość* jest wiecznie żywa.

Podczas dyskusji o książce Sutowskiego Aleksander Kwaśniewski zażartował, że każe umieścić ją na swym nagrobku.

PIOTR GADZINOWSKI

Zawsze zastanawia mnie, co siedzi w głowie nacjonalisty, szowinisty, a nawet – o zgrozo – patrioty. Czy budzi się rano z myślą: „Jak to dobrze, że jestem Polakiem, że dane mi jest żyć w kraju, gdzie Macierewicz jest marszałkiem seniorem Sejmu RP?" A może dręczy go strach, że mógłby się urodzić Niemcem albo – co gorsza – Żydem?

Zazwyczaj przeciętny Kowalski uważa Polskę za kraj w miarę normalny, choć nie śpiewa razem z Radiem Maryja Mazurka Dąbrowskiego. Normalność ta objawia się w sklepach, stacjach benzynowych i cenach papierosów do złudzenia przypominających holenderskie czy luksemburskie realia. Nawet samochody są takie same, choć – paradoksalnie – te z zagranicznymi rejestracjami zdają się mieć więcej splendoru.

Symptomy polskości zanikają, przez co Polska normalnieje: nie ma banknotów, znaczki pocztowe odeszły do lamusa. Nawet polscy policjanci noszą kurtki łudząco podobne do niemieckich, bo uszyte w tej samej chińskiej fabryce, tylko napis jest troszeczkę inny.

Komornik zamiast kata

Polskość ujawnia się w pełni dopiero, gdy człowiek zderzy się z polskim państwem. Z reguły państwo atakuje pierwsze. Nie mówię o kryminałach, ale o codzienności. Polska wiecznie czegoś chce, zazwyczaj pieniędzy. Nazywa się to egzekucją, choć gilotyny nie stawiają. Po tysiącu latach istnienia naszego kraju jego suweren w swej nieomylnej mądrości raczył uznać... że zabijać obywateli nie wypada. Za dużo pomyłek się zdarzało.

Do tego wniosku państwo polskie nie doszło jednak samodzielnie, co zresztą nie dziwi, jeśli się weźmie pod uwagę, że na jego czele stali tacy jak Ziobro i jego zastępcy, entuzjaści eksterminacji obywateli drugiego sortu. Idea, że państwo nie powinno zabijać, została nam narzucona, wręcz imputowana jako warunek członkostwa w Unii Europejskiej. Śmierć karze śmierci!

Okropne słowo egzekucja przetrwało jednak w prawniczym żargonie i państwowej praktyce. Oznacza rzekomo egzekwowanie prawa. W praktyce sprowadza się do konfiskaty dóbr i majątku obywatela z niezupełnie jasnych powodów.

Gdybym miał wskazać prawdziwą ustawę zasadniczą w Polsce, nie byłaby to konstytucja (co udowodnię później), lecz mniej znana ustawa o postępowaniu egzekucyjnym w administracji.

Polska niczego ci nie zapomni

O tym, że stałeś się celem ataku ze strony państwa, dowiadujesz się zazwyczaj w grudniu lub styczniu. Zima to gorący okres dla urzędników łasych na twoje pieniądze oraz swoje nagrody i podwyżki za wyniki. Zapierdalają jak opętani, zamykając bilanse i raporty, atakując każdego, byle tylko zgadzały im się rubryczki. Naturalnie właśnie wtedy ty przygotowujesz się do świąt, twoi prawnicy szusują na nartach, a dowody twojej niewinności spoczywają w zamkniętych na głucho instytucjach.

Życie w dobrobycie

● Tuż przed świętami w kwestii masło a sprawa polska do akcji wkroczyła Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych *i aby ustabilizować sytuację na rynku, ogłosiła przetarg na sprzedaż dużych ilości masła*. RARS rzuciła na rynek 1000 ton produktu, czyli milion kilogramów masła, które jak się podzieli na kostki, to wyjdzie ich 5 mln. Oświadczenie to to piramidalna ściema. Przetarg ustalono na 19 grudnia, gdy każdy w przedświąteczne masło się już zaopatrzył. Na dodatek przetarg musi się poprocedować parę dni co najmniej, więc masło mogłoby trafić do firm najwcześniej w styczniu. Cena wywoławcza została ustalona na 28,38 zł za kilogram, i to bez VAT. To zaś oznacza, że kasa, która zapłacą nabywcy mający masło pokostkować i sprzedać sklepom, winna być wyższa, niż to, co sobie RARS winszowała. Jak się zbierze te rzeczy do kupy, to wyjdzie, że w sklepach za kostkę takiego masła i tak trzeba będzie zapłacić tyle, co przed świętami, czyli drogo. O co więc w tym chodzi? Ano o to, że masło nie może być zamrożone w nieskończoność. Dlatego rezerwy tego surowca co jakiś czas się upłynnia, i to bez żadnej łaski. Masło RARS kupiła, gdy było o ok. 25 proc. tańsze, niż dziś winszują sobie giełdy. Najśmieszniejsze będzie teraz: w dniu, gdy RARS i Tusk ogłosili, że masłem zrobią Polakom dobrze, ceny masła na

eprasa.pl 71af296b8a

Rzeczpospolita bierze wszystko

Opresja to specjalność naszej ojczyzny

Właśnie wtedy spada na ciebie grom z jasnego nieba: okazało się, że 10 lat temu nie zapłaciłeś jakiegoś podatku, ZUS-u, mandatu – co za różnica?! Państwo wszczęło wobec ciebie egzekucję.

Wydawało ci się być może, że twoje zobowiązania wobec państwa, rzeczywiste czy urojone, przedawnią się po pięciu latach, jak zapewne wmówił ci twój naiwny prawnik. Bzdura. Długi wobec państwa nie przedawniają się nigdy, nawet po śmierci. Teoretycznie jeśli jeszcze żyjesz, po pięciu latach jesteś wolny, ale pod warunkiem, że państwo nie upomni się o swoje – prawdziwe lub rzekome – należności. Wystarczy jeden monit wysłany dzień przed upływem terminu przedawnienia, by licznik został wyzerowany. I tak w nieskończoność. A siepacze państwa są mistrzami w tej grze. Nawet śmierć cię nie uwolni.

Warto przypomnieć historię owego nieszczęśnika, który prowadził działalność gospodarczą, choć jej nie prowadził. Przez 30 lat płacił składki, podatki, a potem jeb! – wylew. Facet stał się warzywem, zapomniał, jak się nazywa, i – co gorsza – jak wyrejestrować działalność. Dla państwa to dowód, że nadal ją prowadził, a skoro tak, to należą się ZUS-owi składki. Pięć lat razy dwanaście miesięcy razy stawka, plus odsetki i koszty – i proszę, ZUS wchodzi na hipotekę. Szczęśliwy zbieg okoliczności: facet zmarł przed emeryturą, a i za życia, będąc niespełna rozumu, niczego nie rozumiał. Państwo uradowane sprzedało dom, uprzednio eksmitując spadkobierców.

Konstytucja gwarantuje nienaruszalność mieszkania, ale ustawa o postępowaniu egzekucyjnym w administracji pozwala je zająć. Oczywista sprzeczność. I nie jest to mój wymysł. W 2017 r. Trybunał Konstytucyjny orzekł, że art. 144 tej ustawy jest niezgodny z Konstytucją. I co? I nic.

Artykuł nadal obowiązuje, opatrzony co prawda adnotacją o niezgodności, ale kogo to obchodzi? Wspomniana rodzina wyleciała na bruk z odziedziczonego domu za długi, których nie było na mocy wyroku wydanego w imieniu Rzeczypospolitej.

Najpierw egzekucja, potem sąd

Teoretycznie powinieneś zostać poinformowany o wszczęciu egzekucji. Ale jeśli nie zostałeś, to twój problem. Organy państwa mają obowiązek wysłać ci zawiadomienie lub wrzucić je do skrzynki. Nie wiedziałeś, że masz je odebrać? To twoja wina. Skąd miałeś wiedzieć? Nie wiadomo.

Fiskalni inkwizytorzy teoretycznie pracują w godzinach urzędowych, ale w praktyce mogą zastukać do twoich drzwi o każdej porze, nawet gdy śpisz snem sprawiedliwego. O trzeciej nad ranem, wyważając drzwi kolbami. I to nie żart. Organ państwa może upomnieć się o swoje w asyście policji, agencji ochrony, antyterrorystów, a nawet wojska z czołgami (rozporządzenie w tej sprawie niby nieaktualne, ale formalnie nadal obowiązuje).

Dostałeś nakaz egzekucji, o którym nie miałeś pojęcia? Spokojnie, państwo polskie daje ci szansę odwołania. Tyle że komornik już działa, a twoja skarga będzie się przewalać po sądach od trzech do pięciu lat. I nawet jeśli ostatecznie dostaniesz glejt uniewinniający, to możesz już nie mieć co ratować. Zostałeś zgilotynowany, zanim zdążyłeś powiedzieć „beee".

Zostaniesz z różańcem i krową

Czego nie wolno ci odebrać? Państwo nie zabierze ci: lodówki, kuchenki, pralki (o ile nie są przedmiotami luksusowymi). Pościeli, majtek i podkoszulka a także odzieży wierzchniej (z wyjątkiem futer). Pan komornik powinien zostawić ci zapasy żywności i opału na 30 dni. Nie ruszy odznaczeń, różańca, gromnicy, krucyfiksu oraz telewizora, radia ani sprzętu stereo, które są starsze niż pięć lat. Jeżeli są młodsze, to może. Pozostawi ci meble, ale nie luksusowe. Zabierze dywany. Nie zabiorą ci wózka inwalidzkiego i protezy zębowej, no, chyba że jest ze złota. No i pozostawią krowę lub dwie kozy albo trzy owce, jeżeli mieszkacie razem. Pod względem niezabierania nieco lepiej mają chłopi. Tym się należy pozostawić dwie krowy lub cztery kozy albo cztery owce. Jedną świnię i maciorę lub dwie lochy albo knura. Kur i jednego traktora organ egzekucyjny również nie ruszy pod warunkiem, że gospodarstwo ma przynajmniej 25 hektarów.

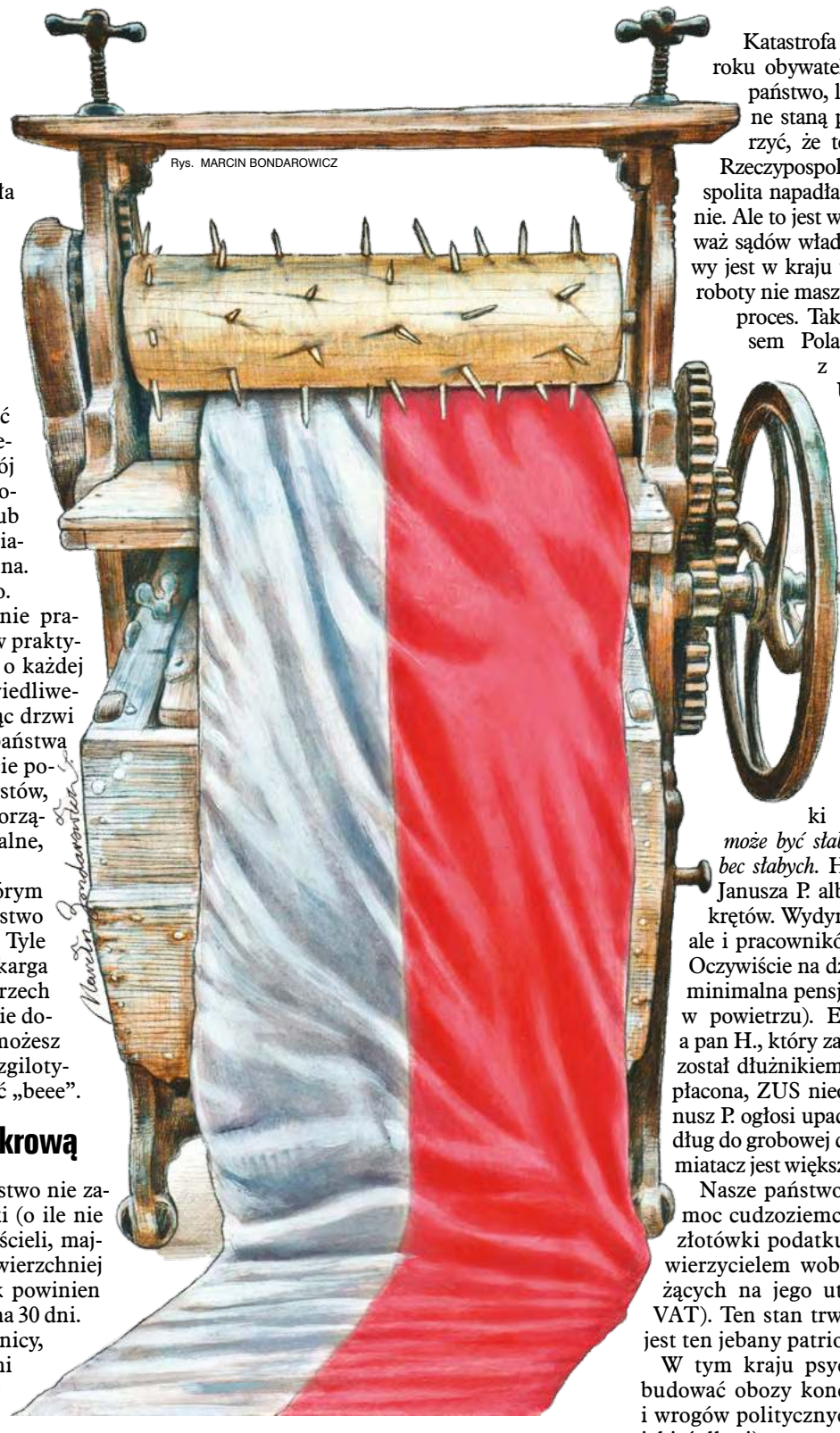
Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Katastrofa prawna i humanitarna. Co roku obywatele składają 40 tys. skarg na państwo, licząc, że sądy administracyjne staną po ich stronie. I muszą wierzyć, że te sądy, działając w imieniu Rzeczypospolitej, uznają, że to Rzeczpospolita napadła na obywatela, a nie odwrotnie. Ale to jest w zasadzie niemożliwe, ponieważ sądów władnych rozstrzygać takie sprawy jest w kraju tylko 17. Przy takim nawale roboty nie masz w zasadzie szans na uczciwy proces. Tak naprawdę zatem twoim losem Polaka zarządza pani referent z Kutna, Sochaczewa lub Ustrzyk, absolwentka technikum handlowego, zatrudniona w skarbówce z łapanki, żeby nie stracić zasiłku. To ona, nie umiejąc ani czytać, ani liczyć, podpisała ci wyrok na standardowym druku. I choć zrujnowała ci życie, nie możesz mieć do niej pretensji. Wszystko zgodnie z przepisami.

Konkurs na większego frajera

Były premier Morawiecki kiedyś rzekł: *Państwo nie może być słabe wobec silnych, a silne wobec słabych.* Ha, ha, dobre sobie! Weźmy Janusza P. albo Marcina P., królów przekrętów. Wydymali inwestorów na miliony, ale i pracowników nie oszczędzili. Umowy? Oczywiście na działalność. Minimalny ZUS, minimalna pensja – reszta w naturze (czytaj: w powietrzu). Efekt? Aferzyści w pierdlu, a pan H., który zamiatał podłogę u Janusza P., został dłużnikiem państwa. Bo faktura niezapłacona, ZUS nieopłacony. I co z tego, że Janusz P. ogłosi upadłość? Pan H. będzie spłacał dług do grobowej deski. Polska – kraj, gdzie zamiatacz jest większym przestępcą niż aferzysta.

Nasze państwo wydające miliardy na pomoc cudzoziemcom, którzy nie zapłacili tu złotówki podatku, jest zarazem opresyjnym wierzycielem wobec własnych obywateli łożących na jego utrzymanie codziennie (np. VAT). Ten stan trwa od dekad. Hańba! Gdzie jest ten jebany patriotyzm, jak go potrzeba?

W tym kraju psychopata u władzy mógłby budować obozy koncentracyjne dla dłużników i wrogów politycznych (wystarczy wymyślić im jakieś długi).

Czas chwycić za kosy i strzelać z Aurory! Tylko do kogo? PiS ongiś lansował tezę: *Warto być Polakiem.* Nawet ta była nieprawdziwa.

ROBERT JARUGA

światowych giełdach z dostawą w styczniu były praktycznie na tym samym poziomie co rządowa cena wywoławcza. Dla żadnego kupca nie była to więc okazja. Nie wspominając o tym, że na pewno nie ma szans na wywołanie spadku cen. Zwłaszcza że światowe giełdy w kolejnych miesiącach proponują masło coraz taniej. Wszystko to zaś oznacza, że zamiast pomóc obywatelom, rząd na tych obywatelach zrobił maślany interes. A i to nienajlepszy, bo gdyby przetarg ogłoszono dwa tygodnie wcześniej, to RARS mogła zarobić nawet 10 proc. więcej. Z każdego więc powodu enuncjację Tuska i RARS o maśle można uznać za głupią i dowodzącą tego, co widać w większości poczynań rządu – totalnej niekompetencji ludzi tam pracujących.

● W ramach nieosłaniania obywateli przed rosnącymi cenami energii rządowi zapomniało się zrobić coś z cenami gazu. W związku z tym Urząd Regulacji Energetyki podniósł o jedną czwartą taryfę opłat dystrybucyjnych dla odbiorców tego paliwa. Gdy to ogłaszano, na holenderskiej giełdzie gazu za megawatogodzinę błękitnego paliwa płaciło się 175 zł. Na polskiej giełdzie paliw za to samo winszowano sobie 195 zł. Detaliczni odbiorcy gazu od należącego do Orlenu PGNiG płacą – i do 30 czerwca 2025 r. płacić będą – 239 zł za MWh. A to dlatego, że pół roku temu rząd odmroził stawki za gaz i cena wzrosła o 19 proc. Rynkowe prognozy europejskich ekspertów od gazu mówią, że do czerwca cena tego surowca może spaść nawet o 20 proc. Nasi spece są zaś pewni, że od lipca bez względu na ceny światowe czeka nas kolejna rządowa co najmniej kilkuprocentowa podwyżka gazowych stawek.

● Należąca do rządu Grupa PZU przedstawiła strategię, która zakłada, że 31,8 proc. akcji Aliora, które są w rękach PZU, trafi do banku Pekao, w którym ubezpieczyciel ma 20 proc. udziału i wspólnie z Polskim Funduszem Rozwoju kontroluje wicelidera polskiego sektora bankowego. Czy przez to spadną koszty kredytów? Jasne, że nie. Czy dzisiejsi pracownicy obu banków zachowają etaty? Jasne, że nie. Czy po połączeniu spadną koszty prowadzenia działalności? Jasne, że tak. Tyle że okaże się, że ujednolicenie procedur i programów obu banków jest na tyle kosztowne, że właściciel, czyli państwo, też na tym nie zarobi. Beneficjentami okażą się firmy zewnętrzne, niezbędne przecież do tego, by z dwóch nieźle funkcjonujących banków zrobić jeden. Jednego można być pewnym: tego, że wszystkie koszty pokryją klienci banków, którym podniesie się opłaty i prowizje.

● GUS sprawdził, co na to wszystko Polacy, i wyszło mu, że 55 proc. uznaje, że naszej gospodarce się pogorszyło, w tym 16 proc. uważa, że jest dużo gorzej. Pesymistyczne odczucia odnośnie do kolejnych 12 miesięcy ma 48,3 proc. z nas. Dużo gorszą sytuację przewiduje 12,4 proc. Polaków. Zaczynamy się też bać wzrostu bezrobocia. 38,2 proc. z nas sądzi, że ono wzrośnie, z czego 13,8 proc., że wzrośnie znacznie. Na większe zakupy w kolejnych 12 miesiącach mniej pieniędzy wyda aż 42,1 proc. z nas. O tym, że sytuacja własnego gospodarstwa domowego się w ostatnim roku pogorszyła, jest przekonanych 31,8 proc. badanych przez GUS. Poprawę zauważyło tylko 17,3 proc. Zwiększyło się grono osób, które zauważają, że wydają więcej, niż zarabiają. Popada w długi 1,7 proc. z nas, czyli o 0,6 pkt proc. więcej niż rok temu. Grono osób uważających, że obecnie nie jest dobry czas na oszczędzanie, to 54,8 proc. Polaków.

Rys. WIDGET

● Obawy Polaków podsyca choćby to, że europejskie koncerny motoryzacyjne zwalniają pracowników na potęgę. Ich polskie oddziały też tak mają – 2024 r. branża zakończyła zwolnieniem 10 tys. spośród 200 tys. osób pracujących w tym sektorze naszej gospodarki. Klapie motoryzacyjnej Polacy próbują jednak dawać odpór. Wszak w listopadzie zarejestrowano w Polsce o 16,54 proc. więcej aut niż rok wcześniej. Listopad był już 19. z rzędu miesiącem ze wzrostem sprzedaży. Był to również rekordowy listopad w historii pod względem liczby zarejestrowanych aut. Wcześniej najlepszy wynik odnotowano w listopadzie 1999 r. Każdy, kto ma pojęcie o rynku samochodów, pewnie się mocno temu dziwi. Wszak od grudnia ceny nowych samochodów zaczynają spadać, bo producenci wyprzedają resztki rocznika i promocja goni promocję. Nikt normalny więc w listopadzie za nową bryczkę by nie przepłacał. Dziwności tej nie rozwiewa również informacja, że 66 proc. listopadowych sprzedaży aut przypada na firmy. Czyżby nie chciały zaoszczędzić? Dylemat ten rozstrzygają rozmowy na ucho z samochodowymi dilerami. Oni mają w korporacjach znajomych odpowiadających za zakup nowego taboru. I jak ci znajomi zamawiają w listopadzie autka za stawki cennikowe, to parę procent wydanej przez ich firmy kwoty wraca niczym łapówkarski bumerang do kieszeni zamawiającego znajomego.

● Produkcja samochodów jest skomplikowana, majonezu zaś – wręcz przeciwnie. I pewnie dlatego Wytwórcza Spółdzielnia Pracy „Społem" w Kielcach produkująca Majonez Kielecki postanowiła zareagować na rosnące zainteresowanie produktem za granicą i za 62 mln zł stawia nową halę produkcyjną, a właściwie dwukondygnacyjny obiekt, który zajmie przestrzeń około 8 tys. m kw. Bo mimo spadku sprzedaży samochodów w Europie eksport kieleckiego majonezu tylko w pierwszych dziewięciu miesiącach 2024 r. wzrósł o 25 proc. Zaś w ciągu ostatnich 10 lat zagraniczna sprzedaż tego produktu polskiej myśli i technologii zwiększyła się aż o 220 proc.

TTJ

eprasa.pl 71af296b8a

Kodeks prawa kanonicznego w służbie strzyżenia owieczek

Msza w intencji niespełnienia

Do aktu to niesłychanego doszło w kościele w Dębicy. Miejscowy prałat ujął to tak: *W sobotę 30 listopada, w godzinach wieczornych, doszło do aktu profanacji dolnego kościoła poprzez niemoralne zachowanie pary młodych ludzi. Dzięki czujności osób adorujących Najświętszy Sakrament proceder został przerwany*. Na czym polegała niemoralność, ksiądz nie raczył napisać.

Grzech oralności

Niemoralność wystąpiła w dniu, w którym Kościół katolicki wspomina św. Andrzeja, patrona małżeństw, podróżujących, rybaków, rycerzy, woziwodów i rzeźników, który prócz tego jest orędownikiem zakochanych, no i wspomaga w sprawach matrymonialnych oraz – jak to ujmują źródła kościelne – *wypraszaniu potomstwa*. Tym razem w tak ważnym dla par dniu z dębickiego kościoła wyproszono parę mającą się wyraźnie ku sobie. Para otóż, nie przeszkadzając nikomu, uskuteczniała to, co Kościół pochwala – miłość znaczy. Tyle że w formie przez katolicyzm zabronionej, czyli francuską. Dla Kościoła bowiem wszelkie marnowanie nasienia na czynności niezwiązane z prokreacją to od czasów Onana grzech większy niż standardowy gwałt.

Pojawiło się wezwanie do wiernych: *Apelujemy o wzmożoną czujność podczas wieczystej adoracji i natychmiastowe reagowanie na wszelkie podejrzane sytuacje* – napisali księża, nie wyjaśniając, czym być mają *wszelkie podejrzane sytuacje*, ani tym bardziej, dlaczego szczególną czujnością owieczki mają się wykazywać tylko w czasie wieczornej *wieczystej adoracji*. Parafianie na wszelki wypadek mają w kościele od tej pory oczy dookoła głowy i nawet trzymanie się za rękę likwidują w zarodku.

Dębiccy księża nie byliby jednak nieodrodnymi synami Kościoła, gdyby nie skorzystali z przypowieści o talentach i na seksie oralnym nie zarobili. Temu służyło określenie profanacja. Ta zaś w rozumieniu prawa kanonicznego polega na użyciu rzeczy świętej do celu świeckiego lub niewłaściwego. I nieważne, że w trakcie karesów młodej pary używana rzecz była wybitnie nieświęta, a nadto używana do celu nader świeckiego i – jak się zdaje – w sposób właściwy. Dla księdza miało znaczenie, że rzecz się działa w kościele, a skoro tak, to został on zbrukany. Należało go zatem oczyścić.

Dlatego *w ramach wynagrodzenia i przeproszenia za akt profanacji zostanie odprawiona specjalna msza święta ekspiacyjna*. Ta konkretna msza to nabożeństwo mające na celu przywrócić naruszoną grzechem miłości francuskiej jedność z Bogiem. Parafia liczy sobie ok. 10 tys. duszyczek.

Rys. OBYWATEL JANEK

Ponieważ impreza została porządnie sprzedana w mediach, to księża liczyli, że na mszę wpadnie może nawet tysiąc owieczek, które rzucą na ekspiacyjną tacę więcej niż zazwyczaj. No i się nie przeliczyli.

Ilość kasy, którą wierni przeprosili Stwórcę, jest jednak przez prałata strzeżona niczym tajemnica spowiedzi.

Szatańskie wersety

W kwietniu w Bytomiu złodzieje rozbili tabernakulum, ukradli trzy puszki z mszalnymi komunikantami i relikwiarz św. Faustyny, który umieszczony był pod obrazem Jezusa Miłosiernego. Porozrzucane hostie znaleziono na chórze i na zewnątrz przy krzyżu misyjnym. Odkręcono i ukradziono także ekran do wyświetlania pieśni. *Jest zupełnie rozbite tabernakulum. Stwierdziliśmy brak cyboriów – puszek z najświętszym sakramentem. Ukradziono także sprzęt elektroniczny stanowiący wyposażenie kościoła NSPJ. Proboszcz, wikary i wierni znaleźli także rozsypany najświętszy sakrament. Większość konsekrowanych hostii udało się zebrać* – brylował w mediach rzecznik prasowy diecezji gliwickiej.

Jest to profanacja Najświętszego Sakramentu – skwitował rzecz ks. proboszcz z okradzionego kościoła. I zapowiedział, że w zbrukanym sanktuarium odprawione zostanie nabożeństwo ekspiacyjne. Nie byle jakie zresztą, bo z udziałem biskupa. Wszak jak napisała kuria, *profanacja jest bolesną raną zadaną Panu Jezusowi, Kościołowi i diecezji gliwickiej*.

Franciszkanie z parafii w Kwidzynie napisali w internecie, że *prześladowanie chrześcijan to nie temat z podręczników do historii. To historia, która dzieje się na naszych oczach*. Do tak głębokich przemyśleń doszli dlatego, że w nocy z 22 na 23 października na zabytkowej ścianie kościoła, pod parafialną gablotą, namalowane zostały słowa *Ave satan*. Profan użył czarnej farby.

Przy okazji przypomniano sobie, że parę lat temu w kwidzyńskiej katedrze krzyż został zdjęty ze ściany, połamany, a następnie podeptany. A do kropielnicy dolano alkoholu. *To szczególny akt barbarzyńskiego zachowania* – komentował wówczas wydarzenie miejscowy ksiądz.

O ile jednak w 2019 r. kwidzyński kler strzelił sobie mszę ekspiacyjną, to tym razem napisu sławiącego szatana za profanację nie uznano, bo widać ściana kościoła to rzecz nieświęta.

Dokładnie tak samo uznali księża w Tarnowcu. Tam we wrześniu fasadę kościoła ktoś opisał niebieskim sprayem. Napisy były równie niecenzuralne, jak i nonsensowne, ale nade wszystko przesycone antysemityzmem, rasizmem i wszystkim, co kochają supremacjoniści. Wypisikane symbole były utrzymane w tej samej tonacji ideologicznej. Stąd krzyż celtycki, który – gdyby ktoś nie rozumiał jego znaczenia – miał dopisek *Biała Polska*.

Komentarz sprowadzający się do stwierdzenia, że *tego rodzaju akty profanacji stanowią poważne naruszenie norm społecznych i prawnych oraz wywołują poczucie zagrożenia w społeczności lokalnej* ukazał się tylko w lokalnym portalu. Proboszcz, rękami wiernych, ścianę pomalował, a nie widząc prawdopodobnie w graffiti niczego niestosownego, od profanacji się odżegnał i ekspiacji nie nakazał.

Ta zniewaga nie wymaga

Święte jest więc wnętrze kościoła, ściana kościoła święta nie jest, ale za to stojący przed kościołem krzyż – już tak. Przynajmniej w Bogatyni, gdzie na początku kwietnia nocą ktoś wzmiankowane skrzyżowane belki ściął piłą. Krzyż był misyjny, cokolwiek to znaczy. *Myślę, że każda profanacja boli. To jest po prostu bolesne, zwyczajnie bolesne. Ale modlimy się także za sprawcę, kimkolwiek on jest, o przemianę serca* – łkał miejscowy proboszcz na stronie internetowej. Po czym zwołał owieczki na nabożeństwo o charakterze pokutnym. *Będzie wśród nas pasterz naszej diecezji ks. bp Andrzej Siemieniewski* – reklamowali imprezę księża.

Również w kwietniu w malutkim Karścinie wypchnięte okno w zakrystii pierwsza w niedzielny poranek zobaczyła kościelna. Poza tym nie było innych śladów włamania. Nie zniknęły sprzęty, nie było widać żadnych zniszczeń. Nienaruszona była monstrancja, a nawet mikrofony i wzmacniacze.

Ksiądz przystąpił więc do pracy i jął odprawiać mszę. Zdziwił się dopiero, gdy po otwarciu tabernakulum nie znalazł w nim cyboriów z hostiami. *Skradzione puszki nie stanowią żadnej wartości. Jedyną wartością dla nas, wierzących, jest Jezus Eucharystyczny. Zbeszczeszczono naszą największą świętość* – mówił mediom wstrząśnięty, acz niezmieszany ksiądz.

Miał rację, Kodeks prawa kanonicznego mówi przecież, że profanacja Najświętszego Sakramentu należy do najcięższych przewin. *Kto postacie konsekrowane porzuca albo w celu świętokradczym zabiera lub przechowuje, podlega ekskomunice wiążącej mocą samego prawa, zarezerwowanej Stolicy Apostolskiej* – można przeczytać w Kodeksie. A skoro tak, to oczywiście trzeba było urządzić dla miejscowych i okolicznych nawet dwie msze ekspiacyjne.

Na jedną z październikowych mszy wpadł do kościoła w Nowym Wiśniczu 35-letni mężczyzna, który – jak ujęły to media – zachowywał się w wyjątkowo niepokojący sposób. Najpierw głośno krzyczał i wymachiwał rękami, a później wskoczył na ołtarz i pchnął znajdujący się tam XVII-wieczny krucyfiks, który się nieco rozpadł. *Straty mogły być większe, gdyby nie bohaterscy parafianie, którzy powstrzymali 35-latka* – grzmiał internet. Kontakt z mężczyzną był mocno utrudniony, więc zamiast do policyjnego aresztu zawieziono go do szpitala. Tam pobrano próbki krwi, które wykazały, że mężczyzna znajdował się pod wpływem amfetaminy i katyny.

Parafia stwierdziła profanację i oczywiście zapowiedziała odprawienie nabożeństw ekspiacyjnych. Jest to ciekawe, bo gdyby trzymać się prawa kanonicznego, to profanacji raczej nie było. Wszak wedle prawników kościelnych *podmiotem przestępstwa profanacji jest tylko osoba fizyczna, która jest poczytalna, czyli świadoma swojego czynu w chwili jego dokonania, i działająca w sposób wolny*. Ale widać od pryncypiów prawnych dla parafii ważniejsze były dodatkowe tace z mszy ekspiacyjnych.

Nie mieli tak księża z Tarnobrzegu. Do ich kościoła na niedzielną mszę we wrześniu wjechał rowerzysta. Przed ołtarzem zrobił kilka okrążeń, krzycząc i wypowiadając słowa powszechnie uważane za brzydkie, ale głównie w krajach anglojęzycznych, gdyż takim językiem mężczyzna się posługiwał. A na domiar złego wykonywał obraźliwe gesty, tym razem zrozumiałe dla wszystkich. Mężczyzna nie reagował na słowne próby spacyfikowania go, a w końcu krzycząc i wymachując ręką, wyjechał z kościoła. Proboszcz nie uznał tego za profanację świątyni. Pewnie nie miał czasu ani ochoty na wyrabianie mszalnych ekspiacyjnych nadgodzin.

Maryja z powyłupywanymi oczami

Letnie ataki na symbole religijne na Podlasiu rozpoczęły się od zniszczenia krzyża we wsi Izbiszcze. Wtedy jeszcze uznano, że za uszkodzenia odpowiadają siły natury lub przypadkowe działania drogowców. Jednak gdy legł kolejny betonowy krzyż, a figura Jezusa została pocięta, miejscowi wiedzieli, że mają do czynienia z profanem. Zwłaszcza gdy naprawiony krzyż ponownie został zdewastowany. Kiedy jednak w pobliskiej wsi Kościuki figurce Matki Bożej wydłubano oczy i pocięto ręce, księża uznali, że policję trzeba pogonić do roboty. Mundurowi faceta zgarnęli, co nie było dla niej trudne, bo został zatrzymany tuż po tym, gdy w bazylice archikatedralnej w Białymstoku rozkładał kartki z niemiłymi katolikom treściami i – według relacji świadków – pluł na krzyż. Mężczyzna przyznał się do wszystkiego, ale przesłuchujący jako kuriozum przekazali mediom głównie to, że w czasie śledztwa facet zeznał, że jest niewierzący.

Kuria w Białymstoku odetchnęła i wydała oświadczenie. *Każdy akt profanacji jest obrazą Boga, wyrazem braku szacunku dla wierzących i wyznawanych przez nich wartości oraz sprzeciwia się zasadzie wolności religijnej* – podkreślono. Kościelne finanse na Podlasiu chyba mają się dobrze, bo ekspiacyjnej mszy nie zrobiono. Wykoncypowano jedynie, że w jedną z sierpniowych niedziel we wszystkich białostockich parafiach po każdej mszy wierni mają odśpiewać suplikacje błagalne. Widać wydłubywanie oczu Maryi jest dla Kościoła niczym wobec grozy świętokradztwa grzechu oralnego.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Jak ustaliła „Rzeczpospolita", ponad 12 tys. osób podpisało petycję, by zabronić udzielania osobom nieletnim sakramentu pokuty. Pomysłodawcą inicjatywy jest Rafał Betlejewski, performer, autor książek i krytyk Kościoła. Instytut Ordo Iuris uważa, że wprowadzenie w Polsce zakazu spowiedzi uczyni z niej państwo totalitarne. Nie ma się czym podniecać. Dokumentem zajmie się sejmowa Komisja do spraw Petycji. Koalicja rządząca nie posiada w niej większości, a w jej skład wchodzą m.in. Sławomir Mentzen, Łukasz Mejza, Jarosław Kaczyński czy Rafał Bochenek. Księża jak zwykle mogą spać spokojnie.

✚ Para nastolatków, która miała uprawiać seks oralny w kościele Miłosierdzia Bożego w Dębicy (woj. podkarpackie) i doprowadzić przyjemnym czynem do profanacji kaplicy, znalazła się na celowniku służb. Jak poinformował rzecznik Komendy Powiatowej Policji w Dębicy podkomisarz Jacek Bator, w sprawie zajścia rozpoczęto dochodzenie. Funkcjonariusze zabezpieczyli monitoring oraz przesłuchują świadków zdarzenia. Czynności zmierzają do ustalenia danych personalnych sprawców incydentu.

✚ Konferencja Episkopatu Polski jest gotowa do rozmów z Telewizją Polską odnośnie do dalszej współpracy – poinformował w mediach rzecznik KEP ks. Jacek Gęsiak. Sprawa dotyczy renegocjacji warunków porozumienia podpisanego w 2020 r. jeszcze przez ówczesnego prezesa TVP Jacka Kurskiego. Z danych TVP wynika, że w 2019 r. budżet audycji katolickich wynosił niecałe 14 mln zł. W 2020 r. było to 21 mln, w 2021 r. – 25,1 mln, rok później – 26,8 mln, a w 2023 r. – 34,4 mln zł. Lista kościelnych audycji i programów była wówczas długa jak z Warszawy do Watykanu. Telewizja Polska podkreśliła, że *dużym wysiłkiem stara się wychodzić naprzeciw potrzebom ludzi wierzących,* i zabezpieczyła na przyszły rok pieniądze na transmisję mszy świętych i koronki do Bożego Miłosierdzia, a także magazynu „Między Ziemią a Niebem", co nie spodobało się biskupom. *Porozumienie KEP–TVP zawarte w 2020 roku adekwatnie odpowiada na potrzeby wiernych w Polsce i realizuje konstytucyjne prawa. (…) Realizacja tego Porozumienia stanowi także niezbędny element działań przeciwko wykluczeniu społecznemu* – napisano w oświadczeniu KEP. Raczej przeciwko wykluczeniu kleru od paśnika.

✚ *Kościół powinien angażować się w politykę. Mało tego, powinien to robić z wielką pasją, nie tyle poprzez biskupów, a poprzez was, aktywnych świeckich członków Kościoła, o których poglądach wiedzieli wasi wyborcy* – powiedział do posłów i senatorów metropolita warszawski abepe Adrian Galbas podczas mszy celebrowanej w kaplicy sejmowej. Skoro w sejmie mają miejsce takie cyrki, sugerujemy zamienić kaplicę na wrotkowisko.

✚ Wybrany przez PiS kandydat na prezydenta Karol Nawrocki zadeklarował, że jeśli obejmie urząd głowy państwa, w pierwszą prezydencką podróż wybierze się do Watykanu. Gdyby doszło do takiego nieszczęścia, proponujemy, żeby już tam został.

✚ Proboszcz jednej z wiejskich parafii w diecezji warmińskiej ogłosił wiernym podczas mszy świętej, że w okresie zimowym zamieszka u gospodyni. Powodem decyzji jest niebezpieczna dla jego zdrowia niska temperatura w zajmowanym przez niego budynku. Apelujemy do wszystkich zmarzniętych o szturm na pałace biskupie.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl 71af296b8a

Członek międzynarodowy

W poszukiwaniu ciepłej posadki dla ustępującego prezydenta

W ostatnich dniach gwiazdą polskiego sportu nie stał się żaden piłkarz ani siatkarz, czy nie daj Boże skoczek narciarski, lecz prezydent Polski. To była zaskakująca wiadomość: Polski Komitet Olimpijski zarekomendował prezydenta Andrzeja Dudę jako polskiego członka w Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim.

Wszystko stało się nagle i z zaskoczenia. W programie posiedzenia zarządu PKOl nie było stosownego zawiadomienia. Jak się okazało, rekomendację dla Andrzeja Dudy ukryto pod ostatnim punktem obrad: „sprawy różne". Wielu członków zarządu nie było na sali, zebranych wystarczyło jednak do kworum, i stosowną uchwałę przegłosowano. Radosław Piesiewicz zapewniał, że taka jest wola ustępującego w styczniu prezydenta MKOl Thomasa Bacha.

Rzeczywisty czy honorowy

Jakież to stanowisko w Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim zaproponował prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego Radosław Piesiewicz panującemu prezydentowi RP Andrzejowi Dudzie? Ponieważ podniósł się krzyk, że Duda odebrałby miejsce dwukrotnej srebrnej medalistce olimpijskiej Mai Włoszczowskiej, wiceszefowej komisji zawodniczej światowego olimpizmu, a sam szuka sobie intratnej posadki po zakończeniu prezydenckiej kadencji, doradca prezydenta Łukasz Rzepecki wyjaśnił, że chodzi o członkowstwo honorowe, które nikomu niczego nie odbiera i nie wiąże się z żadnymi apanażami. Nic na to nie poradzę, ale nazwisko doradcy kojarzy mi się zawsze z naszym kompanijnym głupkiem z czasów, gdy odsługiwałem służbę w wojsku. Młodzi ludzie potrafią być okrutni – tacy też byliśmy, biorąc sobie za cel szykan szer. Rzepeckiego. Znienacka, także w nocy, wołaliśmy głośno: *Rzepecki!*, a biedny żołnierz zrywał się na równe nogi, stawał na baczność i meldował, czasem jeszcze ledwie rozbudzony: *Jestem!*

Nie chcę przez to sugerować, że ważny państwowy doradca jest głupkiem (tak tylko mi się przypomniało), ale rozśmieszyły mnie jego wyjaśnienia. Członkiem honorowym może być tylko wieloletni członek rzeczywisty, a nim Duda na pewno nie jest. Wkrótce zresztą prezes PKOl Radosław Piesiewicz z miną kota srającego w kuwetę oświadczył, że kierowany przez niego komitet rekomenduje Dudę na członka rzeczywistego, a nie honorowego. Słyszałem to na własne uszy i widziałem na własne oczy.

Desant

Wszyscy robią sobie z tego żarty, ja też, ale sprawa jest poważna, chodzi przecież o głowę naszego państwa, czy ta głowa komuś się podoba, czy nie (mnie – nie). Trudno jednak traktować sytuację poważnie, bo

już sam pomysł, aby człowiek, którego sportowe sukcesy sprowadzają się do rekreacyjnego szusowania na nartach, zasiadał w gronie 120 dostojnych działaczy, jest idiotyczny.

I tylko dziwę się, że prezydent Duda sam tego nie widział i natychmiast nie zdementował.

Premier Donald Tusk we wpisie na platformie X zasugerował, że źli ludzie wmanewrowali prezydenta w tę sytuację. Panie premierze, to wszystko odbywało się zgodnie ze schematami obowiązującymi w PiS, w partii, z której wywodzi się nasz prezydent. Cała operacja zaplanowana była od dawna i przeprowadzana z żelazną, bezczelną konsekwencją.

PiS pomaleńku przenikało do struktur PKOl. W efekcie stawał się on niezależny tak samo jak Trybunał Konstytucyjny.

Desant ludzi Jarosława Kaczyńskiego odbywał się bez rozgłosu. Były ważniejsze sprawy i one przykuwały uwagę. W grudniu 2018 r. wiceprezesem PKOl został prominentny działacz partyjny Tomasz Poręba. Znalazło się miejsce nawet dla Ryszarda Czarneckiego. Być może nikt by nie zauważył, że w jakiejś komisji PKOl znalazł się ten człowiek. Podczas rozgrywanych w pandemicznych warunkach i bez widzów igrzysk olimpijskich w Tokio wypatrzono jednak wystającą spod obowiązkowej maseczki charakterystyczną pucułowatą buzię. Skąd w Tokio wziął się pan Ryszard? Początkowo zakładano, że wyjechał tam jako działacz Polskiego Związku Piłki Siatkowej. Nic podobnego. Siatkarski związek prędko zdementował tę informację. Wówczas wyszło na jaw, że w daleką podróż do Tokio Ryszard Czarnecki wybrał się jako członek komisji PKOl, już naprawdę nie pamiętam jakiej.

Przyjaciel Jacka S.

Wreszcie w 2023 r. przyszedł czas wyboru prezesa PKOl. Wydawało się oczywiste, że przez kolejną kadencję poprowadzi komitet jego dotychczasowy sternik Andrzej Kraśnicki. Nikt nawet nie brał pod uwagę, że może być inaczej. Wówczas nastąpiły tajemnicze wydarzenia. Najpierw odbyło się spotkanie w Pałacu Prezydenckim. Później Andrzej Kraśnicki ogłosił, że – dla dobra polskiego sportu – nie wystartuje w wyborach na szefa naszego olimpizmu. Warto zaznaczyć, że Kraśnicki pełnił swoją funkcję

Rys. WIDGET

honorowo, nie brał za to pieniędzy, nie licząc oczywiście zwrotu opłat za hotele. Jeśli chodzi o przejazdy, nie skonsultował się ze specjalistą od rozliczania kilometrówek Ryszardem Czarneckim, choć miał go pod bokiem.

Wówczas wyszło na jaw, że do prezesowskiego fotela przymierza się przyjaciel wicepremiera w rządzie PiS Jacka Sasina, prezes Polskiego Związku Koszykówki Radosław Piesiewicz. Wszyscy byli świadomi, że nie chodzi o zasługi w związku koszykarskim, bo doprowadził tam do licznych nieporozumień, skłócił się z najlepszymi graczami, udało mu się nawet wejść w konflikt z najsłynniejszym polskim byłym zawodnikiem, dobrotliwym olbrzymem Marcinem Gortatem. Przyjaźń z Jackiem Sasinem, datująca się jeszcze z czasów gdy obaj byli działaczami w podwarszawskim Wołominie, była asem w rękawie Piesiewicza. Polski sport stoi na finansach spółek skarbu państwa. Piesiewicz dzięki Sasinowi mógł skierować strumień gotówki we właściwe miejsce (pobierając przy okazji dla siebie prowizję).

Tak było w związku koszykówki, tak miało być – po wyborach – w komitecie olimpijskim. Zostało mi jeszcze trochę znajomości w sportowym światku. Żadna z osób, które relacjonowały mi przebieg głosowania, nie zgodziła się na podanie na łamach nazwiska. Niektórzy bali się nawet rozmawiać o tym przez telefon. Do tego doprowadziła poprzednia władza, że wróciły wspomnienia z czasów PRL. Wówczas też popularna była fraza: „To nie jest rozmowa na telefon". Samego aktu głosowania dziennikarze obserwować nie mogli, wyproszono ich z sali.

W każdym razie były ściągi dla zaufanych jak głosować, znalazł się też chętny do startowania przeciw Piesiewiczowi. Widocznie w ostatniej chwili uznano, że niepoważnie wyglądałoby, gdyby był jedynym kandydatem. W roli zająca, jak w biegach lekkoatletycznych nazywa się zawodnika, który na początku nadaje tempo, a później schodzi z bieżni, wystąpił młody prezes Polskiego Związku Sumo Kewin Rozum. Sumo nie jest dyscypliną olimpijską, więc nawet gdyby na pomoc przybyli mu ponad stukilogramowi zapaśnicy, szanse miałby żadne.

Prezes Pisiewicz

Dlaczego Kraśnicki tak łatwo po rozmowie w Pałacu Prezydenckim zrezygnował, zapewne nigdy się nie dowiemy. Czy mu czymś grożono? Nie sądzę, to człowiek bardzo niezależny, także finansowo. Na odchodne zaproponowano mu 1 proc. od zawartych podczas jego urzędowania kontraktów sponsorskich. Uzbierało się coś ok. 1 mln euro. Podniósł się wrzask, że prezes się sprzedał. Kraśnicki wściekł się, odmówił przyjęcia premii i zapowiedział, że nigdy nic nie brał i nie weźmie. Tu warto dodać, że były prezes może sobie pozwolić na takie gesty, bo jego rodzina nie jest biedna, a raczej wręcz przeciwnie.

Piesiewicz (którego za plecami zaczęto nazywać Pisiewiczem) najwyraźniej uznał, że ma jeszcze za mało. Zaczynał od pensji 10 tys. zł miesięcznie, szybko podniósł ją do 100 tys. miesięcznie. Po ogłoszeniu wyników wyborów parlamentarnych znów obniżył sobie miesięczne uposażenie, bo czujnie uznał, że w niesprzyjających okolicznościach politycznych sprawa może zacząć śmierdzieć. Po igrzyskach w Paryżu z kontrolą zgłosili się w PKOl inspektorzy NIK, swoich ludzi wysłał prezydent Warszawy, bo tylko on – jako organ nadzorujący – ma prawo sprawdzać finanse komitetu. Kontrole jeszcze się nie zakończyły. Bardzo jestem ciekaw, czy znajdą papiery świadczące o prowizjach, jakie mógł sobie wypłacać Piesiewicz z racji ściągnięcia do komitetu sponsorów.

Inna sprawa, że po zmianie władzy sponsorów tych gwałtownie ubyło. Tak bardzo, że PKOl nie był w stanie wypłacić medalistom olimpijskim obiecanych wcześniej nagród. Podczas uroczystej gali dostali tylko zaliczki akonto przyszłej wypłaty. Na szczęście dla Piesiewicza tych medalistów było niewielu.

Wracam do rekomendacji dla Andrzeja Dudy. Wszystko to ma znamiona transakcji wymiennej, tak charakterystycznej dla ekipy PiS. Prezydent pomógł Piesiewiczowi objąć funkcję prezesa PKOl, teraz prezes daje coś w zamian. I to nie byle co, bo posadę w zacnym międzynarodowym gronie, z godziwym uposażeniem i możliwością zwiedzania całego świata na nie swój koszt. Znów przypominają się czasy PRL. Wówczas regułą było, że Polska rekomendowała na członka MKOl ministra sportu (posada ta miewała różne oficjalne nazwy, ale wiadomo, o co chodzi). Nie działo się to jednak automatycznie, bo MKOl ma swoje zasady i nie lubi żeby mu się we wszystko wtrącać.

W 1961 r. na członka MKOl wybrano długoletniego działacza partyjnego, działacza sportowego i członka prezydium PKOl Włodzimierza Reczka. Funkcję tę pełnił przez 35 lat, a gdy sam z niej zrezygnował, przyznano mu dożywotnie honorowe członkostwo. Podkreślam słowo „sam". W 1968 r. w PZPR nastąpiły burzliwe przemiany, ze stanowisk zdejmowano towarzyszy niedostatecznie czystych rasowo. Reczkowi mogli skoczyć na kant wiadomo czego, choćby nie wiem jak zgrzytali ze złości zębami. On był członkiem autonomicznej międzynarodowej organizacji, do której ręce Władysława Gomułki i Mieczysława Moczara nie sięgały.

Następca Szewińskiej

Nieprawdą jest, że przyjęcie Andrzeja Dudy na członka MKOl nie blokowałoby drogi awansu Mai Włoszczowskiej. Członków MKOl może być 115, w tej chwili są cztery wolne miejsca, a w igrzyskach w Paryżu startowały 204 reprezentacje. Kto przyznałby Polsce drugie miejsce? Dwukrotna srebrna medalistka olimpijska w kolarstwie górskim Maja Włoszczowska działa w Komisji Zawodniczej MKOl. Jej kadencja może trwać maksymalnie osiem lat. Później mogłaby starać się o stałe członkostwo, a biorąc pod uwagę, jak rozważnie i z oddaniem pracuje na swojej funkcji, naprawdę może liczyć na sukces. Trzymam za nią kciuki. To była znakomita kolarka górska. Po zakończeniu kariery zajęła się biznesem, w rodzinnej Jeleniej Górze stworzyła firmę szyjącą stroje kolarskie.

Ostatnią polską stałą członkinią MKOl była Irena Szewińska, a teraz ma szanse nią być nasza znakomita kolarka.

Andrzej Duda Włoszczowskiej nie wygryzie, ma na to takie szanse jak większość rywalek stających kiedyś z nią na starcie wyścigu. Piesiewicz nie wziął pod uwagę, że jego zagrywki w pisowskim stylu nie mają znaczenia dla światowych działaczy.

Dziennikarze „Przegladu Sportowego" zasięgnęli opinii u źródła, czyli w MKOl. Odpowiedź była szokująca. Nikt tam nie słyszał o rekomendacji Dudy, a jeśli jest, powinna zostać zgłoszona do Komisji Wyborczej Członków MKOl, a nie upubliczniana w mediach. Plan Piesiewicza zakładał szybki wybór Andrzeja Dudy już podczas styczniowego posiedzenia działaczy MKOl. W praktyce nie będzie to możliwe ani w styczniu, ani w marcu, ani nigdy. Na drugiego przedstawiciela Polski (jednym jest Włoszczowska jako członkini komisji zawodniczej) nie będzie zgody prawie połowy olimpijskiej rodziny, która nie ma tam nikogo.

I jest jeszcze coś, na co zwracają uwagę dziennikarze „Przeglądu Sportowego": członek MKOl zobowiązany jest do przestrzegania statutu, a tam napisano wyraźnie, że działać będzie się niezależnie od interesów handlowych i politycznych oraz jakichkolwiek względów rasowych i religijnych.

Czy autor słów o tym, że LGBT to nie są ludzie, mógłby złożyć przysięgę olimpijską?

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 27.12.2024 r.

eprasa.pl 71af296b8a

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Pojemność cysterny z napisem „Olej jadalny z pierwszego tłoczenia” wynosi 400 hektolitrów. Siedząca za kierownicą Annuszka myśli, że tyle oleju wystarczy na pół miliona poślizgnięć, z których co drugie mogłoby się skończyć dekapitacją.

Tylko skąd wziąć tylu Berliozów? – pyta w myślach Annuszka, dodając gazu.

• • •

Zakonnica, która pozwoliła sobie na chwilę słabości – a może siły? – jeszcze nie wie, że efektem tej słabości – a może tej siły? – jest ciąża. Nieświadoma tego zakonnica pewnie zbliża się do przejścia przez jezdnię, którym przechodziła tysiące razy i nigdy nic się nie stało. Czerwone światło stój; zielone idź.

Z perspektywy prowadzącego samochód Trzaskowskiego wygląda to inaczej: trzeba zatrzymać się na czerwonym, a można jechać na zielonym. Prezydent Warszawy i kandydat na prezydenta Polski dobrze o tym wie, bo jest kierowcą świadomym i wytrawnym.

• • •

Wielbłąd wabiący się Wiesiek błaznował kiedyś w cyrku, ale świat poszedł do przodu, cyrków już nie ma, a jeśli są, to zatrudniają tylko ludzi. Wiesiek spędza zatem emeryturę w zoo, gdzie zwykle albo się nudzi, albo ogląda Netfiksa. Teraz akurat nie ogląda, bo gapi się na coś krótkiego i cienkiego. Gdyby miał sokoli, a nie wielbłądzi wzrok, mógłby zauważyć, że to igła z jeszcze krótszym i cieńszym uchem.

Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż Nawrockiemu wygrać wybory prezydenckie – nie wiadomo dlaczego przychodzi Wieśkowi do głowy.

• • •

Ilu było Spartan, a ilu Persów?

Ilu jest uczciwych ludzi, którzy pamiętają, co się wyprawiało w ciągu ostatnich lat, a ilu głąbów wciąż popierających PiS?

• • •

Jest właśnie ten dzień, pewnie kilka dni przed 18 maja. Prowadzona przez Annuszkę cysterna nie wyrabia się na zakręcie i przewraca się tak widowiskowo jak w „Oszukać przeznaczenie 114”. 40 tys. litrów oleju wylewa się na ulicę, którą jadą dwa tramwaje, dzwoniąc i zgrzytając kołami.

Kilometr dalej zakonnica, która rano wypiła parę sznapsów, wchodzi na pasy. Trzaskowski, który od tygodni pije tylko kakao, zapada na chwilowy daltonizm: zielone światło myli mu się z czerwonym. Zderzenie jest głuche i śmiertelne. Głuche dla sprawcy i wszystkich świadków, a śmiertelne dla zakonnicy.

Wiesiek nie wie, jak to się dzieje, ale wchodzi w ucho jak w masło, które jest coraz droższe, i przez nie przechodzi na drugą stronę.

Po drugiej stronie liczniejsi zwolennicy PiS-u wygrywają. Berlioz, Leonidas i Trzaskowski zostają kolegami na śmierć i życie.

Szczęśliwego nowego roku.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA spędziła święta na Podlasiu, a sylwestra na nartach. **JOANNA SENYSZYN** jest całkiem zadowolona w Gdyni.

Wołk-Łaniewska: – Z góry przepraszam za niską błyskotliwość. Taki ciąg świętowania może się odbić na sprawności intelektualnej…

Senyszyn: – Ty to nazywasz ciągiem? Toć to zaledwie tydzień. A tymczasem jest tyle innych możliwości. W kalendarzu gregoriańskim, czyli naszym, Nowy Rok jest obchodzony 1 stycznia. Według kalendarza juliańskiego – impreza wypada 14 stycznia. W Iranie zmianę roku wita się w dniu wiosennej równonocy, z 20 na 21 marca. W Kambodży, Laosie, Sri Lance i Tajlandii 13 kwietnia. W Chinach, Japonii, Korei, Mongolii, Nepalu, Tybecie i Wietnamie to święto ruchome, wyznaczane zgodnie z kalendarzem księżycowo-słonecznym…

– Czyli kiedy?

– Zazwyczaj w pierwszym kwartale naszego roku. Relatywnie najpóźniej Nowy Rok przychodzi do Żydów. Ruchome święto Rosz ha-Szana przypada na nasz wrzesień–październik.

– A potem są Jamim Noraim, czyli straszne dni, kiedy bozia się namyśla, kto będzie żyć, a kogo szlag trafi, i trzeba się dobrze zachowywać, ale to tylko 10 dni w roku. Nieszczególnie wysokie wymaganie. A potem nadchodzi Jom Kippur, czyli dzień sądny, kiedy bozia się decyduje. Wiem, bo gdy byłam bardzo młoda, to chciałam zostać Żydówką. Potem mi przeszło, jak do mnie dotarło, że aspiruję do państwa opartego na apartheidzie.

– Ale w międzyczasie rozszerzyłaś swoje horyzonty. Kto nie żyje w okowach jedynie słusznej wiary i kultury, może cieszyć się Nowym Rokiem bardzo często. Zmiana rocznej daty ma w sobie coś magicznego.

– Tak właśnie jest – choć nie do końca wiem dlaczego.

– W noworocznej euforii urbi et orbi, a przede wszystkim sobie, obiecujemy gruszki na wierzbie. Najczęściej, że rzucimy zgubne nałogi i żonę lub kochankę, a nigdy tylko ziemi, skąd nasz ród. Teraz nie dotyczy to genetycznych patriotów z PiS, którzy ze strachu przed więzieniem wybierają Białoruś, Węgry i Brukselę. Żon też nie mogą rzucić, bo przepisali na nie majątki, więc zostaliby goli i bosi.

– To może choć mężów mogą. Zawsze byłam przeciwko małżeństwu. To archaiczna, opresyjna instytucja…

– Widać nie taka najgorsza, skoro jest dużo recydywistów. A wracając do noworocznych obietnic: alternatywnie do rzucania solennie przyrzekamy, że będziemy lepsi dla partnera, rodziców, dzieci, podwładnych (potrzebne dopisać). Zobowiązujemy się krócej siedzieć przed komputerem i telewizorem, a więcej gimnastykować, pracować, zarabiać, czytać, zajmować się dziećmi i domem (niepotrzebne skreślić). Uroczyście ślubujemy częściej chodzić do kościoła i lekarza, rzadziej zaś – do knajpy albo odwrotnie. W najlepszym razie noworoczne postanowienia realizujemy do końca stycznia. Toteż po roku wracają ze zdwojoną siłą. Jeśli w 2024 r. chcieliśmy schudnąć 10 kg, odwiedzić dentystę i naprawić cieknący kran, teraz musimy schudnąć już 20 kg, zapisać się na pilną wizytę do protetyka oraz wymienić armaturę.

Rys. TOMASZ WIATER

– Dlatego ja z zasady postanawiam nie czynić postanowień. Strasznie nie lubię tego uczucia, gdy jestem sama sobą rozczarowana. Albo czynię takie postanowienia, że wiem, że dotrzymam. W tym roku na przykład nie będę jadła śmierdzących śledzi za 120 zł puszka.

– To wielkie i odważne postanowienie… Ale dlaczego miałabyś jeść?

– Bo moja siostra ma jeszcze jedną puszkę. Pierwszą otworzyliśmy w wigilię wigilii i była z tym kupa radości. To się nazywa *surströmming*, jest wykwintnym szwedzkim specjałem i śmierdzi tak, że trzeba otwierać na dworze i pod wodą…

– I co, dobre było?

– No chyba kpisz, do gęby bym tego nie wzięła. Medycy – w tym Białymstoku mam samych medyków – mówili, że to zapach sekcji, ale nie jakiejś takiej późnej. Ot, przeciętnie nieświeżego trupa.

– Taaa… – Wracając do Nowego Roku: czytasz horoskopy?

– Generalnie z całym konceptem znaków zodiaku mam poważny problem: otóż kompletnie w to nie wierzę, bo nie ma żadnego racjonalnego uzasadnienia. Ale okazuje się, że to się sprawdza, czy się w to wierzy, czy nie. Ludzie rzeczywiście mają pewne cechy wspólne w związku z miesiącem, w którym się urodzili. Na przykład wszystkie Panny są akuratne, upierdliwe i uporządkowane na granicy OCD.

– To chyba nie ty?

– No pewnie, że nie ja. Ja Baran.

– To wiele wyjaśnia…

– Prawda? Choć racjonalnie rzecz biorąc, nie powinno. Zobacz, a o tobie piszą, że wyróżnia cię *dążenie do zachowania jak największej swobody i niezależności w każdej dziedzinie życia.* Oraz że jesteś *bardzo dobrze rozwinięta zarówno pod względem emocjonalnym, jak i intelektualnym* i *chętnie przestajesz z osobami równie wysoko rozwiniętymi.* Stąd tak lubisz moje towarzystwo.

– A co piszą o tobie?

– Że jestem *egocentryczna, grubiańska,* lubię *dominować,* a cierpliwość nie jest moją *mocną stroną.* I jeszcze że *nierozważna i niedelikatna.* Ale też że powinnam mieć *niezwykły talent organizacyjny,* więc to wszystko humbug.

– Zupełnie inaczej niż przepowiednie jasnowidzów. Słyszałaś? Według najsłynniejszego polskiego jasnowidza Krzysztofa Jackowskiego w 2025 r. będzie drogo.

– Geniusz!

– Choć nie zawsze. W 2001 r. jasnowidz z Chojnic kandydował do sejmu, a w 2006 r. – do pomorskiego sejmiku i tylko stracił czas, pieniądze, bo nie przewidział, że poniesie sromotną klęskę.

– Nikt nie jest prorokiem we własnym okręgu wyborczym…

– Z kolei znana tarocistka, wróżka bezzębuszka, która przepowiedziała wygraną Trumpa, twierdzi, że na razie z kart wynika, że większe szanse na zwycięstwo w wyborach prezydenckich ma Karol Nawrocki: *Grunt będzie w tym, kto będzie głośniej krzyczał na temat rozliczania. I przez wzgląd na odwróconego Króla Mieczy, raczej idzie to w stronę Nawrockiego. Pewna w 100 procentach nie jestem.* Czyli na dwoje babka wróżyła.

– Ale przecież Nawrocki się po ryjach napierdala, a nie walczy mieczem…

– No ale ten król jest odwrócony.

– Aha… Za to Baba Wanga…

– Wiem, wiem, ponoć Breżniew do niej chodził.

– Chyba latał, bo to była bułgarska ślepa znachorka. Wszystko przewidziała, także na 2025 r., choć zmarła w 1996. W 2025 r. będzie trzecia wojna światowa, która zacznie się od tego, że Syria padnie…

– Już padła.

– Oj tam, o miesiąc się pomyliła… Zmieniając temat: dowcip mi się przypomniał ze stanu wojennego.

– Dawaj. Po tych ponurych przepowiedniach nawet stan wojenny brzmi wesoło.

– Dowcip był o klasztorze. Jak to siostra przełożona skarży się biskupowi na nową zakonnicę: że siostra Teodozja zasypia na mszy i często wraca do klasztoru po nocach, albo nawet w ogóle nie wraca, i różańca nie odmawia jak należy, a najgorsze jest to, że jak sobie podpije, to każe do siebie mówić „Zbyszek”. Ostatnio pojawiają się podobne, tylko zamiast „Zbyszek” jest „Marcin”. To ja też uczynię przepowiednię na 2025 r.: premier Orbán nie odda Romanowskiego, chyba żeby mu się to opłaciło.

– A ja dorzucę, żeby nam przez cały rok świeciło ***** ***.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 71af296b8a